Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

CENA 60 GR.

Nr. 2-3 LUTY — MARZEC 1936 R. Rok XII

MŁODA MYŚL LUDOWA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM RUCHU LUDOWEGO

REDAKCJA, ADMINISTRACJA: WARSZAWA, FILTROWA 65a. TELEFON 8.93-50. KONTO P. K. O. 8.636

TREŚĆ:

STANISŁAW MIŁKOWSKI

U ŹRÓDEŁ ŻYCIA

Ukazała się praca Stanisława Miłkowskiego p. t. „Walka o Nową Polskę". Autor omawia w niej i oświetla wytyczne ideowe ruchu ludowego. Myśl przewodnia tej nowej pracy St. Miłkowskiego jest taka, że budowa nowej Polski musi się oprzeć o warstwę chłopską i w związku z tem muszą być przeprowadzone głębokie reformy na terenie społecznym, gospodarczym, politycznym i td. Artykuł poniższy stanowi jeden z rozdziałów „Walki o Nową Polskę".

Red.

Agraryzm jest kierunkiem, który wyrasta z ziemi i podnosi jej wielkie znaczenie zarówno z uwagi na momenty społeczne, jako też i państwowe. Ziemia i przyroda — źródło życia w tajemniczym procesie wiecznego odnawiania się — wywiera decydujący wpływ na losy ludzkości, kształtuje psychikę ludzką, od stopnia zespolenia się z nią zależy zdrowie moralne i fizyczne jednostek i całych społeczeństw. Człowiek ziemi, czerpiący z niej soki żywotne, żyjący w słońcu i na wolnem po-

wietrzu, jest symbolem zdrowia i tężyzny, równowagi duchowej i swoistego patrzenia na świat. Bogactwo otaczających go przyrodzonych zjawisk wywiera wyraźne piętno na jego światopogląd, który kształtuje się zupełnie inaczej, aniżeli książkowy światopogląd ludzi miasta. Twórca chleba zawód swój traktuje z pełną godnością żywiciela ludzkości.

Stopniowe odrywanie się człowieka od ziemi — mści się na nim dotkliwie, z małą tylko dozą przesady można powiedzieć, że jest to dla niego wyrokiem śmierci, oczywiście, na przestrzeni pewnej ilości pokoleń. Miasto jako sztuczne siedlisko ludzkiego bytowania działa ujemnie na rozwój wszelkich właściwości człowieka. W mieście widzimy największy odsetek ludzi chorych nerwowo, różnych degeneratów i zboczeńców. Szybka urbanizacja (umiastowienie) niektórych społeczeństw zachodniej Europy jest prawdopodobnie najważniejszą przyczyną psychicznego niepokoju i nerwowych odruchów u tych narodów. Urbanizacja na tle postępu technicznego dała człowiekowi komfort życiowy, zewnętrzny blichtr i świecidełka, dała mu formę — ale nie dała mu głębszej treści. W kalejdoskopie zmiennych wrażeń, szybko przemijających tendencyj, wtłoczony między martwe mury, ogłuszony chałasem huczącego miasta — człowiek coraz trudniej odnajduje sens i cel swojego życia.

Z różnych stron padają przestrogi. Eugeniści i socjologowie coraz częściej przestrzegają przed ujemnemi skutkami bytowania człowieka w środowisku miejskiem, wskazują na wszelkie fizyczne i moralne szkody stąd płynące. Pojawiają się filozofowie, głoszący upadek kultury zachodnio-europejskiej na podstawie objawów, które istotnie noszą na sobie ślady degeneracji i wyraźnego załamania się. Nie mówią tylko jasno tego, że bankrutuje i łamie się kultura urbanistyczna...

Ludzkość musi zawrócić z drogi swojej zagłady, musi wrócić do praźródeł swojego bytu, któremi są *ziemia i przyroda*, bo tylko w oparciu o nie może uzyskać utraconą równowagę psychiczną i wkroczyć na nowe drogi swojego wszechstronnego rozwoju, więc i duchowego.

Agraryzm podnosi sztandar walki o taki kształt społeczny, któryby umożliwił jaknajściślejsze powiązanie społeczeństwa z ziemią w formach zgodnych z dzisiejszym poziomem rozwoju życia gospodarczego. Nie głosi zatem naiwnych haseł powrotu do natury z równoczesnem wyrzeczeniem się zdobyczy postępu technicznego — ale przeciwstawia się zatracaniu człowieka w jego bezdusznym mechaniźmie.

Polska jest krajem o słabo rozbudowanych miastach, o przewadze ludności rolniczej. Stoi dzisiaj w obliczu konieczności budowania nowego ustroju społeczno-gospodarczego, który ma służyć człowiekowi a nie przygniatać go swojemi formami. W momencie tym muszą być brane pod uwagę szerokie perspektywy rozwojowe, po głębokiej i wszechstronnej analizie nie tylko nowej rzeczywistości polskiej ale i ogólnoświatowej.

Zasady społeczno-gospodarcze „Wici" w ten sposób wyrażają swój pogląd na to zagadnienie:

„Dotychczasowy rozwój społeczno-gospodarczy idzie po linji coraz to wydatniejszego skupiania ludności w miastach, które odrywając człowieka od bezpośredniego współżycia z ziemią na przestrzeni szeregu pokoleń, skazują go na powolne karlenie i wyrodnienie. Miasto jako skupisko dużych jednostek wytwórczych, różnych form kapitału, władzy, środków kulturalnych, dużych zbiorowisk ludzkich — uzyskuje w dzisiejszym sys-

temie całkowitą przewagę nad wsią, co konsekwentnie doprowadza do zwichnięcia równowagi na wszystkich odcinkach życia.

Agraryzm dąży do ściślejszego powiązania społeczeństwa z ziemią, (co jedynie umożliwia zdrowy i harmonijny rozwój człowieka) oraz do powszechnego wyrównania struktury społecznej, poziomu kulturalnego — stoi na stanowisku konieczności zahamowania wzrostu ludności w miastach, jako sztucznych siedliskach ludzkiego bytowania. W miarę możności należy przerzucać na wieś nowopowstające przedsiębiorstwa przemysłowe oraz inne jednostki gospodarcze, — jakoteż szczególnie środki i działania kulturalne. Proces ten umożliwi szybki rozwój nowoczesnej komunikacji".

Program Stronnictwa Ludowego zagadnienie to ujmuje krócej:

„Celem powiązania ludzi z ziemią, wyrównania struktury społecznej i poziomu kulturalnego, przerzucone być winny powstające przedsiębiorstwa przemysłowe, o ile możności, do ośrodków wiejskich".

Formowanie struktury społeczno-gospodarczej musi być nastawione na osiągnięcie tego celu. W miarę możności ośrodki produkcji przemysłowej należy przerzucać na wieś, by w ten sposób nie koncentrować i nie zgęszczać zbyt dużej ilości ludzi w jednej miejscowości. Oczywiście, w życiu praktycznem postulat ten nie zawsze może być wykonany, jako że o powstaniu przedsiębiorstwa przemysłowego w tem a nie w innem miejscu decydują pewne względy, jak surowce, komunikacja, rynek zbytu i t. p. Mimo to jednak, przy uwzględnieniu perspektywy szybkiego rozwoju środków komunikacyjnych, przemysł można decentralizować, rzucać go, szczególnie niektóre jego działy, w ośrodki rolniczo przeludnione. Ideałem agraryzmu jest taka struktura społeczno-gospodarcza, w którejby człowiek pracował częściowo w fabryce, a więc w środowisku martwej natury, gdzie procesy produkcyjne dokonują się głównie mechanicznie — częściowo zaś na ziemi, na słońcu i wolnem powietrzu. Ten system pracy dla człowieka pracującego w fabryce stworzyłby odpowiednie warunki do harmonijnego rozwoju wszystkich jego właściwości fizycznych i duchowych.

Proces ten może dokonywać się również przez stopniowe uprzemysławianie wsi drogą tworzenia drobnych i średnich spółdzielczych ośrodków przemysłowych, szczególnie związanych z rolnictwem.

Miasta, jakkolwiek są koniecznem centrem organizacji dzisiejszego życia gospodarczego — z punktu widzenia agraryzmu — są one sztucznem siedliskiem ludzkiego bytowania. Dotychczasowy ich kształt winien ulegać stopniowej zmianie. Proces ten dokonuje się częściowo już dzisiaj. Na przedmieściach wielkich miast powstają nowe osiedla, można powiedzieć — miasta-ogrody, gdzie zwykle przy każdym domu jest chociażby mały ogródek, domy są nie duże i nie występują w zwartej masie, lecz są porozrzucane. Ludzie z zaduchu wielkich miast uciekają na wolne powietrze. Ten zapoczątkowany proces musi być podniesiony do miary systemu rozbudowy nowych osiedli miejskich.

Dzisiejszy stosunek wsi do miasta i naodwrót — pod każdym względem jest niedoutrzymania. Zbyt wielka przepaść dzieli te dwa środowiska, na co złożyło się wiele czynników. Agraryzm stoi na stanowisku wyrównania tych różnic i zasypania wytworzonej przepaści. Prócz momentów gospodarczych, na pierwsze miejsce wysuwają się momenty kulturalne. Wieś jest dzisiaj uważana nietylko za siedlisko nędzy materjal-

nej, ale również za siedlisko panowania ciemnoty i zacofania. Jednem słowem, są to pod każdym względem doły społeczne, coś gorszego, poślad.

Agraryzm głosi hasło wyrównania poziomów kulturalnych między wsią a miastem. Nigdzie nie jest powiedziane, że chłop musi być ciemniejszy od ludzi innych warstw. Obecny jego stan jest wytworem rozwoju stosunków społeczno-gospodarczych, długowiekowej niewoli pańszczyźnianej, która wszakże należy do przeszłości.

Usamodzielniająca się warstwa chłopska musi tą czy inną drogą zaspokoić swoje potrzeby kulturalne. Przedewszystkiem oficjalne poczynania oświatowe i wszelkie środki kulturalne muszą być w dostatecznej ilości przerzucane na wieś, ażeby przy ich pomocy budząca się warstwa chłopska zaspokoiła swoje aspiracje kulturalne.

Ziemia i człowiek na niej pracujący ma olbrzymie znaczenie w życiu narodu i państwa. Jest ona podstawą bytu narodowego i państwowego. Walka między narodami toczy się zwykle o jej posiadanie. Chłop zrósł się z nią, we współżyciu z ziemią tworzył swoją kulturę, która przeto ma zawsze cechy samorodności w swoim chociażby prymitywnym kształcie. W przeciwieństwie do tego kultura miast ma charakter w zdecydowanie przeważającej części międzynarodowy. Chłop wrosły w ziemię, bronił jej zawsze do ostatniego, kultywował z podświadomym uporem swoje cechy narodowe, był największym obrońcą polskości i w oparciu o te wartości tworzył pierwociny swej kultury. Dlatego też ziemia i chłop na niej osiadły oraz wartości przez niego wytworzone we współżyciu z ziemią i przyrodą muszą się stać podstawą odnowy życia polskiego, ożywczem środkiem świeżył sił fizycznych i moralnych. Pierwociny samorodnej kultury chłopskiej muszą być punktem wyjścia w tworzeniu nowej kultury narodowej.

Trwający od kilku tygodni strajk drukarski w Warszawie powoduje duże trudności w regularnem wychodzeniu pism niecodziennych (strajk nie obejmuje wydawnictw gazetowych). W związku z tem numer niniejszy dajemy do rąk Czytelników z dużem opóźnieniem i jako podwójny — za luty i marzec. Mamy nadzieję, że już numer kwietniowy będzie się mógł ukazać normalnie.

Prosimy Czytelników o wpłacanie prenumeraty za kw. II.

ZDZISŁAW MAĆKOWSKI

TRAGEDJA SZKOŁY

Jak człowiek instynktem swym, całym organizmem fizycznym i duchowym wyczuwa nadejście wiosny, wyczuwa początek nowego okresu twórczego cyklu przyrody — ziemi, tak w tej chwili całe społeczeństwo polskie odczuwa w całej pełni zbliżającą się *wielką przemianę*. Ogólny niepokój społeczny, komplikujące się z dnia na dzień troski i trudności materjalne, świadomość zupełna, iż obecny ustrojowy stan rzeczy nietylko nie przyniesie poprawy, ale przeciwnie ujawnia coraz to nowe elementy rozkładu — oto widoczne zzewnątrz objawy nadchodzącej wielkiej przemiany.

Ludzkość znalazła się dziś w beznadziejnem, zdawaćby się mogło, położeniu. Ludzkość chce za wszelką cenę *pokoju*, zaś organizmy państwowe gotują się wszelkiemi siłami i nadludzkiemi nieraz ofiarami... *do wojny*. Ludzkość jest poprostu... głodna, a siły produkcyjne świata zostają celowo przez rządzący dziś ustrój kapitalistyczny tłumione, a już wytworzone dobra zostają niejednokrotnie celowo niszczone. Wynalazki genjuszu człowieka stają sie nieraz jego przekleństwem, a wiara w ideje szlachetne i sprawiedliwość staje się elementami osłabiającemi siłę obronną jednostki i zespołów mędrszych i szlachetniejszych.

Na tem ogólnem tle, wyżej skreślonem, zjawia się przygnębiający obraz naszej polskiej rzeczywistości. Polska, która ma morze braków i niedostatków, która wlecze się w konsumcji dóbr materjalych na szarym końcu narodów Europy, ta Polska biedna i wygłodzona hołdować musi dziś nakazowi „zaciskania pasa", unosi się ambicją obrony złotej waluty i honorowej wypłacalności, pozwala sobie na ambitną politykę „samodzielności", pchającej ją w kierunku państw faszystowskich!

Ale społeczeństwo polskie dochodzi już wreszcie do momentu, w którym złuda pryska ostatecznie, a rzeczywistość staje przed oczami. Głównym elementem nadchodzącej wielkiej przemiany jest wzrastająca w coraz to przyszpieszonem tempie świadomość mas społecznych. Jest to poczucie pogłębiającej się nędzy, swego niższego bytu duchowego i materjalnego w stosunku do wielu pomniejszych i niczem szczególnie nie przewyższających nas narodów Europy. Świadomość coraz bardziej zdecydowana i przemyślana, że w Polsce nikt z tych, którzy ośrodki dyspozycyj społeno-gospodarczych dzierżą w swym ręku, nie przejawia zamiaru istotnej poprawy i gruntownej zmiany tej gnębiącej nas polskiej rzeczywistości. Idzie zrozumienie, iż celowo zasłania się nam tę rzeczywistość i używa się do tego środków o tyle skutecznych, iż doniedawna paraliżowały one w masach polskich nietylko decyzję czynu ale nawet wolną i twórczą myśl krytyczną.

Ze wszech stron dominowało u nas hasło „państwo i niepodległość", jako podkład pod zupełnie fałszywe w istocie rzeczy ostrzeżenie, jakoby wszelkie zmiany społeczno-gospodarcze niosły z sobą groźbę utraty tych bezcennych dla Polski elementów. Przygniata się nas dotąd koszmarem „złotej waluty", w obronie której wolno nam ginąć w nędzy i cofać się w kulturze ducha, ale nie wolno nam domagać się aktów odrodzenia przy równoczesnem oderwaniu się od tak szkodliwych w skutkach panujących

u nas form gospodarczych ginącego świata kapitalistycznego. Woła się u nas o wolność gospodarczą i inicjatywę prywatną, jakby w dzisiejszych czasach były to wartości niezbędne nam do życia i niosące poprawę bytu szarego człowieka pracy.

Ile haseł, tyle samodręczenia się myślowego, albo zgoła kłamstwa na użytek i korzyść tych, którzy nic nie chcą stracić i nic nie chcą oddać.

* *
*

Ponad wszystko wysuwa się w tej chwili w Polsce problem oświecenia społeczeństwa — tragedja szkoły. Wszyscy są co do tego zgodni i wszyscy stwierdzają, iż tragedja szkoły w Polsce zagraża wprost niepodległości naszej, a już conajmniej stawia nas w rzędzie parjasów świata. W dniu 8 stycznia b. r. odbył się w Teatrze Wielkim w Warszawie „Kongres działaczy oświatowych" pod hasłem obrony szkolnictwa. Ze sceny rzucali mówcy w przestrzeń sali i zapewne całego kraju gromy i głosy rozpaczy. Związek nauczycielstwa polskiego wystąpił w obronie szkoły i dziecka, przedstawiciele „organizacyj społecznych" bili w dzwon alarmu. Szły apele poprzez siedzących na sali przedstawicieli władz „do rządu", aby zrozumiał klęskę polskiej szkoły, ogrom krzywdy społecznej w miljonie dzieci pozbawionych szkoły, aby podjął trud ponownej reorganizacji szkolnictwa. Wzywano „rząd", a przedewszystkiem ministra oświecenia publicznego, aby dał podręczniki do nauki, sale szkolne dla pomieszczenia miljonów dzieci i nowy dziesiątek tysięcy etatów nauczycielskich dla osiągnięcia poziomu szkoły na miarę choćby Bułgarji czy państw bałtyckich.

Święta naiwność, czy też tupet polityczny posunięty do cynizmu!

Minister oświecenia może wszak zrobić jedno tylko — przekazać cały ten „chór błagalny" ministrowi skarbu, bo przecież zagadnienie oświaty w Polsce to chyba nie zła wola i głupota społeczeństwa, ale tylko brak środków na wskazane wyżej cele. Minister skarbu przeprowadza atoli zbawienne dla Polski i ważne państwowo czynności, bo „równowagę budżetu", więc jest właśnie w trakcie nie podwyższania, ale odwrotnie—zniżania pozycyj budżetowych. Błagalny chór oświatowców natrafia na zaporę „państwową", dla której fundamentem jest nic innego, jak równowaga budżetu i zmniejszanie wydatków państwa.

Gorszy się ze sceny mówca — nauczyciel, iż państwo obowiązek prowadzenia szkół przesuwa dziś już częściowo na dobrą wolę społeczeństwa, że „ziemianki" zaczną prowadzić ochronki oświatowe, jak to czasem zdarzało się w Polsce sto lat temu. Ale równocześnie ten sam mówca staje w obronie obecnego systemu i będzie go z całą mocą popierał, a zatem stanie na stanowisku zachowania obecnego reżimu, który w deflacji pieniężno-gospodarczej widzi jedyną formę obecnego bytu państwa i jego gospodarki, a w upadku oświaty powszechnej widzi właśnie ofiarę na rzecz utrzymania kapitalistycznych i aspołecznych podstaw życia Polski.

I ten sam mówca — nauczyciel wie dobrze, iż na uratowanie szkolnictwa potrzeba nie dziesiątek, ale setek miljonow złotych, wie on również dobrze, iż obecny reżim środków tych dać nie może, ale ten mówca — nauczyciel nie ma odwagi dotknąć równocześnie uczciwie i konsekwent-

nie zagadnienia wielkiej przemiany, która jedynie tylko i wyłącznie może uratować oświatę od ruiny, a stan nauczycielski od beznadziejnych dziś wyników jego pracy i trudu.

To samo czynili przedstawiciele innych „organizacyj społecznych“, którzy ze sceny Teatru Wielkiego wołają o oświatę, a we własnych organach prasowych popierają obecny ustrój i jego prawne podstawy.

Nieszczerzy ci mówcy, ale zarazem nieświadomi heroldowie „wielkiej przemiany”. O ile bowiem występują oni publicznie z niegodną działaczy społecznych nieszczerością, to z drugiej strony obnażają całkowicie naszą polską rzeczywistość, dają bodziec całemu społeczeństwu do twórczej krytyki obecnego stanu rzeczy, z której rodzi się nakaz wejścia na nowe drogi życia społeczno-gospodarczego.

Sprawa jest zupełnie jasna i zrozumiała. Na poziomie obecnego budżetu niema naprawdę mowy o podniesieniu oświaty w Polsce. Miljony analfabetów ciążą i coraz mocniej zaciążą na naszem życiu. Zato będzie utrzymany złoty, będzie zachowana równowaga budżetu. Ofiara będzie wielka. Kto zaś chce, niech sobie czeka dziesiątki lat na kapitalizację wewnętrzną i świetne skutki prywatnej inicjatywy gospodarczej, które to elementy za wiele lat dać mają powolny, automatyczny wzrost budżetu państwa i temsamem wydatków na oświatę.

Jedno gromkie pytanie. Czy ci, co każą czekać, mają śmiałość poręczyć, że Polsce niczem nie grozi na bliską i dalszą przyszłość straszliwy ciężar masowego analfabetyzmu, czy nie osłabi to nadmiernie narodu i państwa? Czy rzeczywiście sądzą oni, że zagranica, a ściślej mówiąc, kapitalizm zachodnio-europejski zapłaci nam za wierną straż przy złotej walucie i bohaterskie trwanie na szańcu konającej już wszędzie liberalnej doktryny ekonomicznej?

My nie wierzymy w to i wiemy, że trzeba zrobić jedno i to bez zwłoki — zerwać z dotychczasowym systemem gospodarki pieniężnej i rozbudować ją wewnętrznie samodzielnie; budżet państwa w następstwie tego podwoić. Budować szkoły, dziesiątki tysięcy nauczycieli zasadzić do pracy, wyplenić doszczętnie analfabetyzm w kraju. W tem widzimy pierwszy element „wielkiej przemiany”, w tem widzimy akt sprawiedliwości społecznej i uczciwie pojętego demokratyzmu. Nie wystarczy bowiem dać dorosłemu człowiekowi równych praw; trzeba mu przed dojściem do pełnoletności dać „równe szanse” walki o byt, trzeba mu dać równorzędne warunki do wywalczenia sobie należytego miejsca w społeczeństwie.

Tego obecny reżim nie robi i zrobić nie może, zaś ci, którzy w obronie tego reżimu społeczno-gospodarczego występują, nie mają prawa przemawiać ze sceny Teatru Wielkiego w obronie oświaty powszechnej. Trzeba być uczciwie konsekwentnym. Albo budżet oparty na największych ofiarach świata pracy i honor posiadania złotej waluty, a zatem konsekwentna zgoda na obecny stan oświaty w kraju, — albo oświata powszechna oparta na rozległym twórczym eksperymencie społeczno-gospodarczym. Innego wyjścia niema. Łudzenie zaś społeczeństwa jest najbardziej niegodną obywatela kraju nieuczciwością, więcej jeszcze — jest wobec społeczeństwa przestępstwem.

Ż. F.

FORNALE

Zdaje się nam, ludziom żyjącym na wsi, że widzimy wszystko, co się dookoła nas w życiu wsi dzieje. A jest jednak duża gromada chłopska, którą my się mało albo wcale nie interesujemy, w każdym razie w prasie naszej nie poświęcamy jej miejsca. Mam tu na myśli chłopów, stanowiących służbę folwarczną.

Rozwój życia i techniki stwarza nowe rodzaje zawodów, a równolegle z tem powstają dla tych zawodów nowe formy bytowania. Natomiast na warunkach bytowania służby folwarcznej ciągle jeszcze ciąży tradycja minionych lat a nawet wieków całych. Zawód, a raczej mus służenia obszarnikom, bierze swój początek ze źródła przemocy pańszczyźnianej, rozpoczynającej się na ziemiach polskich prawie od trzynastego wieku. Przymus ten obejmował cały ogół chłopów, ale nie liczne w osiemnastym a decydujące w dziewiętnastym wieku reformy włościańskie zwolniły olbrzymi odsetek chłopów od przymusowego wysługiwania się szlachcie. Jednak nie wszystkim ten szczęśliwy los samodzielnego gospodarowania uśmiechnął się. Spora ilość pracującego ludu wiejskiego zmuszona została pozostać podawnemu pod władzą obszarników. Prawo uwłaszczeniowe ich nie dosięgło, najczęściej dlatego, że choć mieszkali w domach wybudowanych własnemi rękami, ale które jednak figurowały na imię „pana", albo znów pracowali na ziemi, z której plony bezpośrednio zabierał „pan" dla siebie. A wielu innych znów chłopów — jak np. mój dziadek — których byłby dosięgnął manifest 1864 roku — uniosło uczucie patrjotyzmu, poszli do powstania, a potem, po jego upadku, ukrywać się musieli przed zemstą moskali, poza swym domem i wsią, a temsamem nie mogli skorzystać z „ukazu", przyznającego prawa do ziemi. Jako bezrolni najczęściej w dalszym ciągu służyć musieli u „panów".

Dla usprawnienia warsztatów rolnych i zwiększenia dochodów, obszarnicy nauczyli się stosować najnowsze wynalazki techniki. Natomiast traktowanie folwarcznego człowieka zupełnie nie uległo zmianie. Tradycją ułożone metody postępowania ze „służącym" obszarnicy w dalszym ciągu bez zmian stosują. Postępowanie „panów" ze „służbą" w folwarkach do dziś dnia jest żywym zabytkiem odległego średniowiecza. Obserwując „ziemian", z których wielu ma wyższe wykształcenie, widzi się u nich wybitne stępienie uczuć ludzkich. Ma się wrażenie, że obszarnicy wszelką cywilizację i kulturę, nabytą na „szerokim świecie", na demokratycznym Zachodzie, przed wkroczeniem w granice swych „włości" skrzętnie otrząchnęli z siebie, pozostawiając przy sobie tylko umiejętność szwargotania po francusku.

Służbę folwarczną trzymają w tym „domu niewoli" dworskiej trzy wrogie siły: ciemnota, głód i zmowa zorganizowanego ziemiaństwa. Kiedy wolnościowy powiew 1905 i 6 roku poruszył znękanemi masami folwarcznemi, co się przejawiło w postaci strajków rolnych, to tacy panowie ziemianie guberni lubelskiej, zorganizowani w Towarzystwie Rolniczem, postanowili w 1906 roku w § 3 swojej uchwały: **„Przyjąć zasadę, aby w czasie strajku bezwarunkowo nie robić żadnych podwyżek"** *).

*) Sprawozdanie Towarzystwa Lubelskiego Rolniczego za rok 1906, str. 13.

Na tle tych uwag ogólnych należy rozpatrzeć bliżej obecne warunki bytowania służby folwarcznej.

Otóż — obecnie na terenie b. Kongresówki umowy dotyczące pracy i płacy w folwarkach nie są zawierane indywidualnie przez każdego pracownika i obszarnika, lecz zbiorowo, dla całego powiatu i na cały rok. Do zawierania takiej umowy z jednej strony występują przedstawiciele zorganizowanego ziemiaństwa, z drugiej przedstawiciele Związku Zawodowego Robotników Rolnych. Zdawałoby się, że w tych warunkach służba folwarczna ma możność zapewnienia sobie znośnych warunków bytowania. Zaraz przekonamy się, jak jest w rzeczywistości. Przyjrzymy się istniejącym stosunkom w folwarkach powiatu krasnystawskiego. Na terenie tego powiatu istnieje jeszcze 76 folwarków. Żyje w nich 650 rodzin folwarcznych, tak zwanych „ordynarjuszów". W folwarkach pracuje ponad tysiąc robotników.

Obowiązująca formalnie w bieżącym roku umowa zbiorowa na terenie niniejszego powiatu ustanawia następujące warunki pracy i płacy dla „fornala": Praca w zimie powinna trwać dziewięć godzin i minut dwadzieścia (w tem ma być 1½ godz. przerwy obiadowej); latem zaś praca trwać winna przez całą długość dnia, t.j. od godz. 3-ej rano do 10-ej wieczorem (w tem trzygodzinna przerwa obiadowa).

A teraz wynagrodzenie za pracę. Otóż przewiduje si ęwynagrodzenie w gotówce, t. zw. „pensję" i w naturze, czyli „ordynarję". Pensja, według umowy, winna wynosić dla ordynarjusza sto czterdzieści złotych rocznie, płatnych w ratach kwartalnych, ordynarję zaś ma stanowić piętnaście kwintali zboża, w czem 2 kwintale pszenicy, 3 q. jęczmienia i 10 q. żyta. Poza tem ordynarjusz powinien otrzymać 0,45 ha pod ziemniaki i o ile w danym folwarku nie wydaje się 1 q. ziemniaków lub 2 q. buraków na jedną krowę miesięcznie w czasie zimowego żywienia, to do powyższej ilości ziemi dodane jeszcze być winno 0,9 ha pod okopowe. Dalej umowa ustanawia, że każda folwarczna rodzina ma otrzymać mieszkanie o dwóch izbach z drewnianą podłogą, drzewo szczapowe na opał (12 metrów rocznie) oraz pomieszczenie i utrzymanie dla dwóch krów. W czasie wykonywania pracy przez fornala poza obrębem folwarku (np. dalsze odstawy zboża lub okowity i t. p.) fornal powinien w myśl umowy otrzymać „strawne" w wysokości 1 zł. 60 gr. na dobę. Na wypadek okaleczenia przy pracy czy w czasie choroby pracownik folwarczny leczony być winien na koszt dworu. Gdyby zaś wypadek spowodował stałą utratę zdolności do pracy, to pracownik powinien otrzymać odszkodowanie. Umowa przewiduje również, że po 25 latach służby w jednym folwarku lub u jednego właściciela pracownik winien otrzymać emeryturę.

Umowa zbiorowa określa również wynagrodzenie „czeladzi" (członków rodziny ordynarjusza), gdzieindziej zwanej „posyłką". Dla „czeladzi" przewiduje się następujące płace: pracownicy pierwszej kategorji, t. j. poniżej lat 16, mają otrzymywać za zimowy dzień pracy 40 groszy i jeden kilogram żyta, za letni dzień — 55 gr. i 1½ kilograma żyta. Prócz tego, za cały rok dniówkowy pracy — jeszcze 8 q. ziemniaków. Druga kategorja robotników (dziewczęta dorosłe i chłopcy nieprzydatni do kosy), otrzymują zimą 55 gr., a latem 90 gr., w obu porach roku po 1½ kg. żyta, oraz za cały rok 12 q. ziemniaków. I wreszcie trzecia kategorja robotników (przydatni do kosy) zimą otrzymuje 65 gr., latem zaś 95 gr. i jak

w poprzednich kategorjach za przepracowany dniówkowy dzień 2 kg. żyta oraz 16 q. ziemniaków na cały rok.

Tak w krótkim opisie przedstawia się treść umowy zbiorowej. Nie może ona być zerwana przez żadną ze stron, chyba że właściciel folwarku złapie fornala na kradzieży, ale i w takim wypadku musi orzec komisja rozjemcza. Normalne wymówienie pracownika winno być poprzedzone trzymiesięcznem wymówieniem przed końcem roku służbowego, który kończy się 1 kwietnia. (Jest to zdobycz strajków rolnych 1906 roku, bo przedtem zmieniano służbę 1 stycznia, a więc wyrzucano pracowników na zimę).

Po wyliczeniu tego wszystkiego stawiamy sobie pytanie: co w najlepszym wypadku może osiągnąć „ordynarjusz"? Ma się wrażenie, że wszystkiego ma poddostatkiem, aby utrzymać rodzinę. Aby nie na wrażeniach tylko opierać swój sąd, przeliczymy całe wynagrodzenie na pieniądze. Przy obliczeniach bierzemy pod uwagę ceny miejscowe.

Pensja za cały rok	— 140 zł.
Ordynarja: 10 q. żyta po 10 zł.	— 100 „
3 q. jęczmienia po 10 zł. . . .	— 30 „
2 q. pszenicy po 15 zł	— 30 „
Mieszkanie: 12 miesięcy po 10 zł.	— 120 „
Opał: 12 metrów szczap po 5 zł.	— 60 „
Ziemia pod okopowe 0,5 ha	— 40 „
Utrzymanie dwuch krów	— 90 „
Razem . .	610 zł.

Fornal obsługiwać musi stale inwentarz żywy (najczęściej cztery konie), który ani jednego dnia nie może pozostać bez żywienia i opieki, wobec tego całe 365 dni w roku są dniami pracy. Jeżeli podzielimy sumę 610 zł. przez dni pracy, to wypadnie na każdy dzień, na utrzymanie całej, a prawie zawsze licznej, rodziny jeden złoty i 67 groszy. Jednak — jak powiedzieliśmy na wstępie — **warunki przewidziane w umowie zbiorowej istnieją tylko na papierze!** We wspomnianym powiecie na ogólną ilość 76 folwarków zaledwie coś w jedenastu obszarnicy w przybliżeniu stosują warunki zbiorowej umowy. Wprawdzie żaden z ziemian nie mówi, że zrywa umowę, ale jej łamanie jest powszechne. Chcecie przykładów? Oto pierwsze z brzega:

W majątku P. właścicielka zalega swej służbie z wypłatą „pensji" od 1932 r. tak, że 25 folwarcznym rodzinom należy się ponad osiem tysięcy złotych. Aby zlikwidować takie zaległości, obszarnicy korzystają z prawa zwalniania służby przy końcu roku służbowego, wypowiadają pracę tym, wobec których mają zaległości, a zmieniają swoją decyzję tylko wtedy, jeżeli pracownik zrzeknie się należnej mu zapłaty. Podobnie rzecz się miewa i z „ordynarją", która wydawana bywa często zbożem gorszego gatunku, mniej nadającem się do sprzedaży.

A jak to bywa z przydzielaniem ziemi pod okopowe? Oto zwykle służba folwarczna otrzymuje ziemię najgorszą, niekiedy musi czekać z sadzeniem ziemniaków na zrobienie dodatkowego nawozu już w czasie wiosny i dopiero na tym, mało przegniłym oborniku, z dużem opóźnieniem sadzi ziemniaki, zbierając później byle jakie plony.

Bardzo jaskrawo występuje również niedopełnianie warunków umowy w dostarczaniu mieszkań rodzinom folwarcznym. W omawianym powiecie zaledwie 40% izb fornalskich posiada podłogi drewniane. Dwuch izb dla jednej rodziny prawie w żadnym folwarku „fornale" nie mają, a raczej naodwrót — 10% „fornali" w powiecie mieszka po dwie rodziny i więcej w jednej izbie. (Np. w folwarku L., w jednej izbie o powierzchni podłogi 25 metrów kw. mieszka rodzina Jana A. — cztery osoby, rodzina Stanisława S. — pięć osób i Józefa A. — dwie osoby). Mieszkania te często nie są ogrzewane, bo zamiast umową zbiorową przewidzianych dwunastu metrów drzewa szczapowego, obszarnicy wydają dwanaście drobnych kupek, niekiedy zielonych gałęzi (jak np. w folwarku S.). Można sobie wyobrazić, co się dzieje w tej izbie fornalskiej. Odbywają się tam kłótnie ustawiczne, a najczęściej o kuchnię, która jest wspólna na kilka rodzin. Każda „parobczycha" chce pierwsza przygotować pożywienie, każda chce zdążyć „na dzwonek", bo inaczej, za spóźnienie, usłyszy od swego „chłopa" setkę choler, których on znów za spóźnienie się do pracy usłyszałby z nawiązką od „jaśnie pana", ekonoma, lub innego dozorcy.

Narówni z właścicielami ciężki los przeżywać muszą i fornalskie krowy. Panowie obszarnicy szczycą się pięknemi krowami, utrzymywanemi w ciepłych i czystych oborach, dobrze żywionemi, wożonemi na pokaz, aby „prosty naród" chłopski brał wzór z nich, ale ci sami panowie dziedzice, co chcą świecić przykładem i stanowić wzór dla innych, jaknajgorsze warunki dają dla inwentarza fornalskiego. Krowy fornalskie, zagłodzone na ugorach, dożywiane są w lecie „płachtą chwastu", uzbieranego pokryjomu przez dzieci fornala na dworskich miedzach, a w zimie kradzioną paszą, co się nazywa „braniem pokryjomu".

Pomoc lekarska. Tak, umowa przewiduje ją. Ale i tutaj możemy przytoczyć fakty, jak to wygląda w rzeczywistości. Najgorzej się dzieje, jeżeli zachodzi potrzeba leczenie chorób przewlekłych, jak np. gruźlicy. Wtedy ziemianie wykorzystują najbliższy pierwszy kwiecień i bezceremonjalnie zwalniają ze służby takich „niepotrzebnych cherlaków". Szczególny wyjątek stanowi pod tym względem w powiecie krasnystawskim dwór w Orchowcu, który utrzymuje swym kosztem akuszerkę a nawet ochronkę dla dzieci folwarcznych.

Przewidywane w umowie zbiorowej emerytury prawie że nie mają w życiu zastosowania, bo ziemianie, mając niczem nieskrępowaną swobodę zwalniania corocznie służby, nie dopuszczą do tego, żeby ktoś mógł bez przerwy przesłużyć 25 lat w jednym folwarku.

Możnaby tak dalej wyliczać szereg przykładów, ale i wymienionych już wystarcza dla udowodnienia, że mimo istnienia umów zbiorowych służba folwarczna zdana jest całkowicie na łaskę i niełaskę obszarników. Czasami — w ostatecznej już rozpaczy — dochodzi do wybuchu, ale panowie obszarnicy zbyt są potężni, aby ukarać bardziej śmiałych. Na takich, którzy nie pozwolili obszarnikowi całkowicie zdeptać swojej godności człowieczej, albo okazali się czynnymi w organizowaniu służby folwarcznej — na takich jest wiele sposobów, ażeby zostali usunięci „ze dwora". A zmowa obszarnicza czuwa nad takimi w całym powiecie, aby ich głodem należycie ukarać. Do innych powiatów nie mają poco chodzić, bo tam, jako z „obcymi", żaden obszarnik nie zechce rozmawiać.

Ktoby patrzył tylko na dziesiejsze ciężkie warunki służby folwarcznej, mógłby usprawiedliwiać ten stan panującym kryzysem w rolnictwie, mógłby mówić, że obszarnicy nie są w stanie dopełnić warunków umowy zbiorowej. Ale jeśli ktoś i w przeszłości miał możność widzieć z bliska życie czworacze lub sam w niem żyć, ten wie, że w okresie najświetniejszej konjunktury w rolnictwie ten stan życia czworaczego, budzący grozę w człowieku, w niczem się nie różnił od obecnego.

My tu przykładowo opisaliśmy życie czworacze w pow. krasnystawskim. Stwierdzić musimy, że nie inne jest ono w innych powiatach. Wszędzie stosowany jest nietylko wyzysk materjalny, ale co gorsza — hula tu ordynarne chamstwo obszarnicze, depcze się godność człowieczą tych ludzi. To jest najgorsze! Bo jeśli sąsiad chłop cierpi dziś nędzę nie mniejszą od fornala, ale bądźcobądź nikt nad nim codziennie nie stoi z batem i nikt nie rzuca na niego obelżywych i plugawych słów.

Folwarki z każdego punktu widzenia są dziś anachronizmem. Zarówno względy gospodarcze jak też i społeczne nakazują skasowanie tych siedlisk średniowiecza. Ziemia przejść musi w ręce pracującego na niej ludu.

LEON LUTYK

ANTY-PROGRAMOWCY

Wiadomo wszystkim, że ruch ludowy w Polsce stoi twardo na płaszczyznie demokratycznej i duch demokracji przenika do głębi cały nasz program agraryzmu. Jednocześnie dawno już zdecydowano, że podstawowe organizacje ruchu ludowego, jakiemi są: w dziedzinie politycznej — Stronnictwo Ludowe, a w dziedzinie wychowawczo-społecznej Związek Młodzieży Wiejskiej R. P. „Wici“ — że organizacje te muszą być organizacjami o rozległych ramach ideologicznych, w których mogłaby się pomieścić współpraca całej klasy chłopskiej, zarówno dotycząca zagadnień ogólno państwowych, czy narodowych, jak i własnych interesów klasowych.

Nic też dziwnego, że wewnątrz tych najszerszej pomyślanych instytucyj polityczno-społecznej pracy i walki klasy chłopskiej mają miejsce różne, dość odległe czasem od siebie zabarwieniem i poglądami nurty i prądy. Te prądy ścierają się ze sobą w wewnętrznej dyskusji, nieraz zresztą bardzo ogniście. Ale zdaje się, że u progu zwycięstwa w całym naszym ruchu jest już zasada wypracowania takich form dla tej dyskusji wewnętrznej, aby nie mogła ona naruszyć jedności ruchu ludowego i jednolitości poczynań wobec kapitalnych zagadnień i interesów wsi, a zwłaszcza wobec innych, wrogich nam, czy nawet przyjaznych ugrupowań i stronnictw.

„Najpierw chłopi muszą dogadać się ze sobą, a dopiero wtedy wolno im gadać z obcymi“ — tak brzmi naczelne hasło ruchu ludowego, dotyczące wszelkich porozumień i wszelkiej współpracy z innemi ruchami społecznemi w Polsce. Nie znaczy to jednak, żeby te obce ruchy społeczne miały zawsze respektować tę zasadę. To też bardzo często widzimy, jak

różne ugrupowania społeczne z prawa czy z lewa, korzystając z sympatji niektórych ludzi czy grup w ruchu ludowym, starają się przez tych swoich świadomych czy podświadomych „ambasadorów” zastrzyknąć nam takie czy inne swoje dążenia czy plany.

Endecy forsują u nas przez swych sympatyków program antysemicki i nacjonalistyczny, licząc na to, że przesiąknięcie temi „idejami“ zaprowadziłoby chłopów na podwórko endeckie; komuniści znów starają się zastrzyknąć nam marksistowsko-leninowskie teorje kolektywizmu oraz bezbożnictwo. Nie chcę znów twierdzić, bo to byłoby nieprawdą, że wszyscy ludzie z naszego ruchu mają coś wspólnego z którymś z wymienionych prądów, że wszyscy oni muszą być koniecznie endekami lub komunistami. Boć zapożyczanie z istniejących już doktryn zdarza się każdej nowej ideologji, która powstaje. Ale niewątpliwie jest w tem wiele roboty „zzewnątrz”.

A już najbardziej charakterystyczną i jednocześnie wspólną cechą wszystkich naszych „przyjaciół” z poza ruchu ludowego jest ogólna niechęć do wyraźnego skrystalizowania naszego programu. Jest to zupełnie zrozumiałe. Te grupy, które chcą nam coś wmówić, czy podsunąć zasady swojej ideologji, wiedzą, że tem trudniej im będzie wodzić nas swojemi ścieżkami, im wyraźniejsza będzie droga, którą sobie wyznaczyliśmy. To też w gazetach różnych, obcych nam kierunków, widzimy jednomyślną nagonkę na agraryzm.

Na co wam to! — wołają jednym głosem komuniści i endecy. I jedni i drudzy podają nam własne gotowe recepty. Przytem nasze poczynania w kierunku wykuwania naszego własnego programu starają się zbagatelizować lub wydrwić, jako dziwactwo i donkiszoterję. Nie ograniczają się wyłącznie do swoich terenów publicystyki, ale starają się przeniknąć na nasze własne, wykorzystując wpływy, o których już wspominałem.

Endecy uderzyli na nas w swojej prasie zaraz po Kongresie Stronnictwa Ludowego, który stanął na gruncie agraryzmu. Wewnątrz ruchu ludowego widać wyraźny ich wpływ choćby z tego, że dziwnym trafem ci, co najgoręcej propagują antysemityzm, głoszą jednocześnie, że agraryzm jest niepotrzebny, bo jak przyjdzie „wódz“ — to sam powie, co mamy robić, a obecnie wszelki wyraźny program — to są „czcze obiecanki”. Z tego widać, że endecy, straciwszy wszelkie widoki na to, żeby z chłopami, idącymi pod sztandarem organizacji, mogli kiedyś dojść do porozumienia, jedyną nadzieję pokładają jeszcze w tem, że gdy Witos powróci, to może coś z tego będzie.

Ale i przyjaciele z lewa nie zasypiają gruszek w popiele. Dużo ironicznych słów o agraryzmie, jako ideologji „burżuazyjnej” lub znowu „kułackiej”, czytamy w różnych tygodnikach socjalistycznych. A już najcharakterystyczniejszy jest artykuł b. senatora Ńocznickiego, który sam podkreśla swoją zewnętrzność w stosunku do ruchu ludowego, umieszczając w obcym organie artykuł, w którym o ideologji ruchu ludowego wyraża się jako o „tak zwanym agraryzmie”. Ten sam sen. Ńocznicki wszędzie gdzie może przeciwstawia agraryzmowi, jako jedynie racjonalny, program kołchozów.

Bardzo znamiennym przyczynkiem do zilustrowania moich uwag o wpływach obcych w naszym ruchu jest artykuł kol. Janczaka p. t. „Siła przyzwyczajenia i programy”, umieszczony w ostatnim numerze „Młodej

Myśli Ludowej". Omawiam go dlatego, że ukazał się na łamach naszego pisma; w innym wypadku uznałbym polemikę z nim za niepotrzebną, bo jest naogół niewiele mówiący i naszpikowany frazesami, tak często spotykanemi w różnych organach prasy „proletarjackiej", że stały się już komunałami.

Myślą przewodnią tego artykułu jest bicie w programy. Kol. Janczak uważa, że chłopom program jest niepotrzebny; wystarczy wytworzyć świadomość klasową i zrobić rewolucję, a program sam się zrobi. Ciekawy tylko jestem, co nazywa kol. Janczak świadomością klasową? — bo ja właśnie opracowanie i uświadomienie sobie przez chłopów ideologji agraryzmu nazywam świadomością klasową, a przecież to jest właśnie jednolity program klasy chłopskiej.

Sam pisze kol. Janczak, że **„walka o ruch ludowy, to walka o zmiany w strukturze społecznej i gospodarczej, to walka ze wszystkiemi przesądami, które stoją na drodze wyzwalania się mas, bez względu na ich ziemski czy „nadziemski" charakter".**

Dobrze, więc o co chodzi kol. Janczakowi? Czy o to, żeby w tej walce nie było programu, czy należy walczyć wogóle o zmiany, bez określenia, **jakie mają być te zmiany?** Kol. Janczak przyznaje, że ostatecznym celem walki jest przebudowa społeczno-gospodarcza państwa, ale czy wszystko jedno, **jaka** przebudowa?

I chyba nie zależy kol. Janczakowi, żeby w tej walce szedł jeden chłop do Sasa a drugi do lasa i żeby wcale nie wiedzieli — **poco** idą?! A te wszystkie odpowiedzi na pytania: **jakie zmiany, jaka przebudowa, poco** — to jest właśnie program, a odpowiedzią jednolitą klasy chłopskiej jest właśnie **agraryzm.**

To też poco obwijać w bawełnę, Kolego Janczak! Powiedzcie odrazu, że chodzi Wam o to, żeby klasa chłopska nie tworzyła własnego programu, a przejęła program marksistowski. Najprzejrzyściej wyłazi to szydło z worka, gdy się powołujecie na przykład „kułaków" rosyjskich, zwalczających rewolucję, która podobno przyniosła chłopom raj. Tutaj zaplątaliście się we własne rozumowanie. Boć przecież wszyscy wiedzą, nie tają tego i źródła sowieckie, że t. zw. walka z kułakiem była prowadzona w Sowietach w myśl zgóry przyjętego programu, którzy bolszewicy wypracowali sobie tak „jednolicie", że nie uwzględnili w nim nawet odrębności interesów klasy chłopskiej i wszelkie przejawy tych interesów uznali za kułactwo. A że przytem, jak to stwierdzają źródła całkiem przychylne sowietom, ucierpiało niemało całe chłopstwo Rosji, że setki tysięcy chałup skonfiskowano a ich mieszkańców wysłano do gospodarstw zbiorowych, że wielu wcielono pod przymusem do robotniczych bataljonów, że przy przeprowadzaniu tego programu działy się sceny nieróżniące się od żadnych „pacyfikacyj" — o tem, jak widać, kol. Janczak nie chce wiedzieć.

Zamiast uzasadnienia, dość trudnego — przyznaję — konieczności porzucenia przez chłopów opracowywania jednolitego programu ludowego, pisze kol. Janczak rozległy wstęp o ludziach, którzy są przeciwni wszelkim zmianom i o roli kleru katolickiego i kościoła w życiu społecznem. Nie polemizuję z temi wywodami. Na większość tych uwag, wielokrotnie wypowiadanych w naszych pismach, godzę się w zupełności. Ale skąd autor dochodzi na podstawie tych uwag do wniosku, że chłopom nie

potrzeba jednolitego programu? — tego nie rozumiem. Ja dochodzę na podstawie tych samych danych do wniosku wręcz przeciwnego: właśnie **dlatego** chłopom jest potrzebny jednolity program — agraryzm.

Na zakończenie chcę zwrócić uwagę na jedną z uchwał Kongresu Kominternu w Moskwie, która jest niewątpliwie źródłem wpływów antyprogramowych, dochodzących do nas różnemi drogami. Brzmi ona:

„W celu zjednoczenia **pod kierownictwem proletarjatu** walki pracującego chłopstwa, drobnomieszczaństwa, narodów uciskanych i inteligencji pracującej, komuniści dążą do utworzenia szerokiego antyfaszystowskiego frontu ludowego na bazie frontu proletarjackiego".

Jesteśmy zdecydowanymi zwolennikami frontu ludowego, wspólnej z robotnikami walki przeciw faszyzmowi i wspólnego budowania nowego ustroju. Ale nie mamy żadnej ochoty brać w tej walce udziału jako luźna kupa „pod kierownictwem proletarjatu". Im lepiej zorganizowana będzie klasa chłopska, im wyraźniej skrystalizowany będzie jej program agrarystyczny, tym bardziej decydującym będzie ona czynnikiem w walce ze starym ustrojem i tym więcej będzie miała widoków na zachowanie głowy na karku po zwycięstwie.

Bo kto uważnie czyta uchwały Kongresu Kominternu — ten musi wyczytać pomiędzy wierszami dość wyraźne hasło: „Najpierw przy ich pomocy zwyciężymy, a potem utniemy im łeb".

B. B.

RELACJA O „RZĄDACH MARSZ. PIŁSUDSKIEGO"

Ukazała się książka p. t.: „Strzępy meldunków"[1]) — pióra gen. Sławoj - Składkowskiego, b. ministra Spraw Wewnętrznych z okresu „Brześcia" i wyborów w 1930 r. Książka niecodzienna, pod wielu względami o charakterze dokumentarnym. Zrozumiała rzecz, że książka ta różne uczucia i różne refleksje będzie budziła w różnych grupach czytelników. Nie wszyscy w tej książce będą szukali tego samego, nie wszyscy z tego samego będą się cieszyli, nie wszyscy wszystko będą podziwiali...

Sposób napisania „Strzępów meldunków" jest tego rodzaju, że nie można robić z nich jakiegoś omówienia, streszczenia, czy też pospolicie zwanej recenzji. Można tylko wskazać rzeczy istotne, wybijające się na plan pierwszy i dające zarys głównych linij politycznych, jakie przezierają z luźnych „strzępów".

Autor jest prawdziwym piłsudczykiem, oddany szczerze i bez reszty swemu wodzowi, darzący go bezgranicznem uwielbieniem. Na każde stanowisko wedle zlecenia gotów iść, „posłusznie" znosi wszelkie objawy niezadowolenia.

---

[1]) Sławoj-Składkowski: „Strzępy meldunków", Warszawa, 1936.

Wzywany rozkazem—melduje się często w różnych sprawach u Pana Marszałka i przebieg oraz treść rozmów notuje sobie po wyjściu. Stąd powstały „Strzępy meldunków".

Przewijają się więc w skrótach pokolei — w porządku chronologicznym — mniejsze i większe, tak niedawne, nieraz brzemienne wydarzenia i wypadki. A więc na pierwszym planie — walka z tak zw. „sejmowładztwem" i z Sejmem. W dn. 25 czerwca 1928 r. odbyła się słynna Rada Gabinetowa na Zamku. Piłsudski wygłosił długą i gwałtowną mowę. Między innemi wyraził się: „Nie jestem w stanie... się długo i znosić szubrawstwa sejmowe, to dla mnie fizycznie niemożliwa rzecz!" (str. 88).

Trwała więc długa walka pomiędzy Rządem a Sejmem — dopóki w 1930 r. nie „zrobiono" takiego Sejmu, z którym już nie potrzeba było walczyć. Ten Sejm harmonijnie „współpracował" z Rządem, posłusznie wszystko uchwalał — i wreszcie przyłożył swoje placet na zmianie Konstytucji oraz ordynacjach wyborczych, co akurat zbiegło się ze śmiercią i końcem „rządów marsz. Piłsudskiego".

Istotnie były to „rządy marsz. Piłsudskiego". W „Strzępach meldunków" są bardzo charakterystyczne dowody na to. Na dzień 25 czerwca 1928 r. zwołana została Rada Gabinetowa na Zamku. Wszyscy się zjechali i odbyło się co następuje:

„Po przywitaniu się z Panem Prezydentem, obsiedliśmy stół i Komendant poprosił o głos, poczem złożył, jako szef gabinetu, dymisję na ręce Pana Prezydenta w imieniu wszystkich obecnych ministrów.

Sprawiedliwość wymaga zaznaczyć, że nikt z nas, ministrów, nie wiedział zupełnie o zamiarze Pana Marszałka podania się do dymisji, ale, oczywista, milczeliśmy z godnością" (str. 86).

— — — — — — — — — — —

„Za kilka miesięcy, jeżeli zajdzie potrzeba, Komendant gotów jest znów stawić się na wezwanie Pana Prezydenta, jako szef gabinetu. Wtedy znów trzeba będzie dobierać inny gabinet, „ale Składkowskiego nie wezmę, bo on się..." — dodaje Komendant. Po chwili milczenia, patrząc na mnie, Pan Marszałek mówi: „Ja się zresztą namyślę, ale musi bić, jak stupajka!" (str. 89).

Była to aluzja do p. Składkowskiego jako ministra Spraw Wewnętrznych, który podczas otwarcia Sejmu w marcu 1928 r. wprowadził poraz pierwszy policję do gmachu sejmowego, kazał wynieść posłów komunistycznych, jednak tenże minister „Składkowski też się..., a nie bił po mordzie" (str. 88).

Na dzień 29 sierpnia 1930 r. o godz. szóstej i pół popołudniu została zwołana Rada Ministrów. Posiedzenie rozpoczęło się tak:

„Gdyśmy siedli przy stole obrad, Pan Marszałek zaczął mówić głosem głębokim i podnieconym:

— „Zebrałem Panów, by dać wam wniosek do uchwalenia. Wniosek ten brzmi: — o rozwiązaniu Sejmu.

...Ta głupia konstytucja. Ta głupia konstytucja..." (str. 217).

Potem nastąpiła motywacja i dyskusja. Niektórzy ministrowie podnosili objekcje natury prawnej. Piłsudski w odpowiedzi oświadczył:

— „Proszę panów, ja oddaję pod głosowanie rozwiązanie Sejmu. Kto jest za tem?" (Ogólne podniesienie rąk, bo, no niechby tylko nie!!!) (str. 220).

Następnego dnia, 30 sierpnia ukazał się Dekret Pana Prezydenta o rozwiązaniu Sejmu i Senatu. Rozpoczęła się więc kampanja wyborcza. Na czele jej stał minister spraw wewn., p. Składkowski. Marszałek Piłsudski powiedział mu: „Zrobicie wybory i macie wracać do wojska" (str. 194). Robota wyborcza odbywała się jednak pod ścisłym nadzorem samego marsz. Piłsudskiego.

„Największy nacisk — pisze dalej gen. Składkowski — położył Pan Marszałek na toczące się dochodzenia w sprawie Kongresu Centrolewu, odbytego w Krakowie w dniu 29 czerwca 1930 r., którego uczestnicy występowali nietylko przeciwko rządowi i Komendantowi, ale nawet przeciwko Prezydentowi Rzplitej. Stopień winy i obciążenia poszczególnych posłów Komendant objął ogólną nazwą „kondemnatek" (str. 205).

„Na przedstawionej przezemnie liście posłów z „kondemnatkami" Pan Marszałek własnoręcznie, zielonym ołówkiem zaznacza, kto ma być aresztowany i zamknięty w Brześciu" (str. 223).

Wiadomo, że tak zw. „sprawa brzeska" odegrała decydującą rolę w wyborach 1930 r. i do dziś dnia ciąży nad życiem politycznem Polski.

W instrukcji danej p. Składkowskiemu przez marsz. Piłsudskiego było między innemi zlecenie, by „sądy niezwłocznie załatwiały przestępstwa przeciw porządkowi w Państwie, tak, by przykład kary działał możliwie szybko i bezpośrednio. Pozatem, mam karać mocno, możliwie pieniężnie, za nielegalne posiadanie broni" (str. 233).

— — — — — — — — — — —

Z innych spraw ciekawe są zagadnienia poruszane na Radzie Ministrów. Gdy po okresie dobrej konjunktury w latach 1928-9 zaczęła się kurczyć „radosna twórczość", Rada Ministrów miała nieustanne kłopoty z redukowaniem budżetu i „wiązaniem końca z końcem". Przy tych okazjach marsz. Piłsudski wygłaszał uwagi o gospodarce pieniężnej Państwa, o urzędnikach i t. p.

„Natomiast muszę powiedzieć o tych dziurach w budżecie: wygoda urzędników, bezrobocie i interwencja zbożowa" (str. 255). Pozatem: „Mnie boli mój budżet (wojsko) i ministra Czerwińskiego (oświata), gdzie trzysta trzydzieści tysięcy dzieci zostaje bez nauki!" (str. 263).

Dziur tych nie zdołano w żaden sposób zatkać, a przeciwnie z biegiem lat znacznie się powiększały. O dyskusjach nad zasadniczemi kwestjami gospodarczemi i społecznemi Polski w związku z kryzysem — śladów w „Strzępach" nie znajdujemy.

Największą troską otaczano wojsko, bo „bez wojska nasze znaczenie w świecie całym jest zerem" (str. 258). Pozatem — mówił marsz. Piłsudski — jesteśmy, w ciągu rządów ministra Składkowskiego, świadkami niezwykle pocieszającego zjawiska — podniesienia autorytetu i siły moralnej policji. Przy tej ilości policji, płace są bardzo nikłe i dlatego nie można nie iść pewnym nadmiarem wygód dla policjanta. To czego odmawiam innym urzędnikom, nie mogę odmówić policji.

Natomiast „suma, na którą najbardziej został obcięty budżet, jest największa u ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia" (str. 258).

*
* *

Tak więc wyglądały w świetle szczerych relacyj jednego z najgorliwszych współpracowników — „rządy marsz. Piłsudskiego". Zajmują one połowę okresu od zdobycia niepodległości i niewątpliwie zostaną jako specjalna karta w historji. Były to rządy o wybitnym charakterze osobisto-dyktatorskim. Wpływ Piłsudskiego bezwzględnie dominował. Pod wielu względami były to rządy przejaskrawione, w wielu dziedzinach niedociągnięte. Faktem jest, że „rządy marsz. Piłsudskiego" skończyły się z jego śmiercią. Kiedy zaczną się rządy istotnie nowe w Polsce, oparte na masach narodu pracującego, zależy to od zdolności i wysiłku tych, którzy pragną tej zmiany w duchu naprawdę innym.

FRANCISZEK SURÓWKA-BRZEGOSKI

FLAGI

(Fragment)

Trąby, rocznice, — idjoty —
kłująca jak sztylety półdzika muzyka —
od San Francisco aż do Tokjo
tłumy z barłogów na świat się wywlokły —
w bezsłownej męce wije się i zdycha
ta sama ludzka dola...

A ponad barbarzyńskie święta,
a ponad „zniczów" błękitne gromnice,
nad szał, co się „dorocznym zwyczajem" rozpętał,
wznoszą się — światła, białe, ciche, nikłe,
wiążą się w wielki, mgławy płomień.

Jaśnieją ręce,
ręce łagodne —
widnieją blade skronie,
skronie zadumanego nad swiatem Chrystusa
i bólem zaciśnięte i miłością usta.
Na wielkiem polu, gdzie dymi jeszcze popiół,
stanęły rzesze wiotkie —
przestronny dół kopią

i zasypują w nim zemstę i gniew
i bratnią krew
i zdradę Kainową
i dni, co zamieniły się w bestję i zbrodnię —
od przepaści krawędzi, gdzie granic obręcze,
przerzucają na brzegi siedmiobarwne tęcze.
A zdali armat echa swarliwą rozmową
wtórzą, zanim się orgja bezsenna rozpęta —
a potem — flagi, wieńce,
„znicze", dzika muzyka, pomniki i „święta".

Arystydesie!!
Niejedna „wiosna" ponad światem,
niejeden orkan nad Twym grobem
wyć będzie —
a ręce łagodne
tę samą, co grzebały, patrjotyczną zbrodnię
spełnią —
niejedną żałobę,
niejedno barbarzyńskie święto
przetrwać tym, co żyć będą, w dzień i noc przeklętą,
co przeplatają się w dzikim przegonie).*
Nadejdzie rzeź powszechna, głód i potop,
każdy się stanie „bohaterem",
choć braknie rąk, by dawać „męstwu w boju" krzyże —

Ponad ziemi dymiącym czerepem,
z nawisających błękitami wyżyn
zjawią się blade skronie,
skronie zadumanego nad światem Chrystusa,
oczy i ręce — ciche i łagodne —
a Ty, a Twoi staną obok
i tam, gdzie dymi jeszcze popiół,
tam, gdzie konają jeszcze zbrodnie,
rzucą ziarna w brózd pełną i krwi sytą ziemię:
siać będą — nowe pokolenie...

**) Arystydes Briand, minister francuski i jego projekt Stanów Zjednoczenia Europy*

STANISŁAW MŁODOŻENIEC

„CHŁOPI" REYMONTA — EPOS WIEJSKIE [1]

— *„Narodzie kochany, ludzie chrześcijańskie, Polaki, to mówię wama, że rady już inszej niema, jeno sami musimy swojego dobra bronić, gromadą całą iść i boru rąbać — nie pozwolić!... Wszystkie chodźmy, kto jeno żyw, kto jeno kulasami rusza, całą wsią, wszystkie jak jeden. Nie bójta się niczego, ludzie, nie bójta: nasze prawo, to i nasza wola i sprawiedliwość nasza!...“*

— *„Narodzie chrześcijański, Polaki sprawiedliwe, gospodarze a komorniki!...“*

Ten głos, — te słowa, — ten manifest, — ten Macjej Boryna, co warem swojego honornego sumienia całą gromadę porywał do walki o wycinany bór, — to on — Władysław Reymont!...

Jeśli słyszycie, — to jego moralność, jego wiara, w tych słowach jego żartka krew, żywioły chłopskiego plemienia, na których zakładał, wznosił i wypełniał swoją wspaniałość pisarską.

Gdy prawem kaduka wycinano polski bór, gdy wątlały w zawiejach horyzonty naszego nieba, gdy blakła do cna na facjatach pysznięca się ciągle farba szlachecka, — stanął w chłopskiej gromadzie Maciej Boryna — Władysław Reymont — i wyprowadził ją na ratunek i po zwycięstwo.

W splendorze żyznych i niepodkupnych farb, w zawierusze blasków, w przepychu różnolitych kształtów, w nieustannym, wartkim rytmie odwiecznego pochodu, co jednoczy wszelki dźwięk i głos — ustawił swoich chłopów przed światem i podbił go urokiem nieoczekiwanego widzenia.

Fragment ludzkiego nieba, co wisi nad Polską, został nareszcie wypełniony najistotniejszym konkretem tej ziemi — chłopem!

Główna siła polska i ta najdawniejsza, wierna ziemi, prawda polska pokazały w pełnem słońcu Reymontowej wiary swoją oryginalną, frapującą twarz.

Potrzeba tu było wielkiego tchu, homeryckiego rozmachu — i stało się! „Chłopi“ Reymonta — to epos idącej od wieków Polski i zarazem epos Polski, gotującej się do uświadomionego w całym zakresie ludzkich spraw pochodu.

Elegijny ton szlacheckiej epopei, to wspaniałomyślne pożegnanie oficjalnego pokostu w pisanych dziejach naszych, to pełne uroku pożegnanie szlacheckiego świata w „Panu Tadeuszu" — domagało się potężnej przeciwwagi. Zresztą i sam Mickiewicz do pożegnalnych melodyj wprowadza, miękki coprawda i cichy, akord chłopskiego powitania.

Nieśmiałe, sielankowe kroki!...

To w burzę tonów, w całą symfonję rozwinął ten poderwany akord i wypełnił niemi swoje powitanie chłopskiego świata Władysław Reymont.

---

[1] Przemówienie na Akademji, urządzonej 26 I. 1936 r. w Warszawie, ku uczczeniu 10-tej rocznicy śmierci St. Władysława Reymonta staraniem Związku Młodzieży „Wici".

Marszowy, nieustępliwy rytm wycina się i góruje nad innemi tonami w tem powitaniu, bo zrodziło się ono ze źródeł najżywszej wiary w człowieka i z ognia najgorętszych umiłowań.

Słyszycie te dudniące, coraz mocniej strojone kroki, aż się rozlegną wszerz i wzdłuż, głusząc wszelką tę dreptaninę na ziemi naszej?!...

Na wąskiej taśmie lipeckich spraw dojrzał Reymont szeroką, nieujarzmioną niczem falę chłopskiego ruchu. Na okruchach lipeckiego pejzażu rozmieściła się cała proporcja społecznych elementów, która się stanie miarą układu, realizowanego w pełnym wykresie przez plan chłopski.

Racja chłopska jako racja ziemi i racja gromady gruntuje tam — w Lipcach — zasadę ambitnego, niezależnego, swoiście chłopskiego stosunku do innych: do rządu, coprawda obcego, do dworu, do plebanji.

W zasadzie tej niema uproszczonej, klasowej negacji, która tak modna dzisiaj i która chce się wciskać nawet do wiejskiego myślenia,—przeciwnie — tkwią w niej ziarna najszerszego demokratyzmu.

Gromada lipecka nie uzna rządu, który chciałby nad nią panować, nie uzna dworu, który chciałby jej dworować, ani plebanji, coby tamte racje uświęcała.

Ale kto wejdzie w gromadę, kto według jej praw współdziałać zacznie, będzie swój, należne mu, współrzędne miejsce będzie miał.

Praktykowany wiekami obyczaj gromadzkiego współżycia wytworzył w masie chłopskiej żywy materjał dla prawdziwie demokratycznych form w ustroju.

Kto tego nie ocenia, kto tego nie widzi, jest ślepy i w praktyce zbiorowego, odpowiedzialnego działania — śmieszny.

Reymont całą swoją naturą, wszystkiemi zmysłami, a nie mędrkowaniem, jak się najczęściej u nas dzieje, zespolił się z prawem gromady, najistotniej, dogłębnie je odczuł i wydobył w blaskach wiejskiej konkretności.

Chłopskie prawo gromady — to prawo łączenia, prawo żywej, konstruktywnej współpracy elementów.

Nikt jak Reymont dotąd nie pokazał tej olbrzymiej moralnej dynamiki, która chłopstwu polskiemu wyznacza pierwszoplanową rolę w tworzeniu stylu naszego zbiorowego życia.

Nie ostoi się, nie może się wobec tej ujawniającej się coraz bardziej dynamiki ostać styl szlacheckiego „widzimi się”, ta anarchistyczna zabawa w sobiepańskie kaprysy.

Nawrócenie dziedzicowego brata Jacka na chłopską wiarę, jego dziwaczna, jakby się zdawało, ekspiacja, to nie żadne cudactwo poetyckiej wyobraźni, ale to nakaz, rzucony całemu polskiemu odgórnictwu.

Kto nie wejdzie w gromadę, by z nią iść ku górze, — ten będzie zaprzańcem plemiennej idei i gwałcicielem jedynego ładu, jaki się może na naszej ziemi ustalić. Pewny i szczery nawrót do źródeł moralnej konkretności jest nieodzowny dla polskiego zbawienia!...

W tym jedynie wypadku przyśpieszy się proces cywilizacyjnego odnowienia i rozkwitu na wszystkich płaszczyznach naszej rzeczywistości. W tym jedynie wypadku zacznie Polska naprawdę wchodzić jako współrzędny, twórczy czynnik do grona światowych narodów.

Przykład samego Reymonta jest tu niezwykle pouczający i wymowny... „Chłopami” swymi zajął przodujące stanowisko w piśmiennictwie polskiem, „Chłopami” swymi wyszedł na szeroki świat.

O ile wieś polska, o ile ta rozszerzająca się linja ruchu chłopskiego zawdzięcza Reymontowi uzmysłowiony w pięknie czar swojej zdobywczej idei, o tyle Reymont zawdzięcza tej wsi najwyższą swoją chwałę pisarską.

Bo jakże?

Stamtąd właśnie, z tej wsi, z jej powietrza, z jej żywego gromadzkiego tętna czerpał szlachetny materjał na epicki skład swojej duszy.

Tam na tych polach, na opłotkach i rozstajach, rzuconych na nieuchronny, regularny kołowrót pór roku, co chodzą po sobie krasą ciągle świeżych zjawisk, porwał go ten wicher kosmiczny i rozszerzył jego pierś po mgłę dawnego prawieku i po świt najdalszego jutra...

Najszerszy dech wziął dla siebie z wiejskiego przewiewu.

Tam, w tem ciągle naocznem i wszechobecnem współżyciu gromady uspołeczniał każdy swój zwysł, nasycał go konkretną treścią pospólnych doznań, które stroiła mu w duszy miara najdalszej tradycji.

Najżyźniejsza, najrzetelniej wybrana glina dla artystycznego składu.

Tam pod pełną kopułą wiszącego ciągle nad człowiekiem nieba, które go uwodzi tajemnicą gwiazd i zamyka jednocześnie w krągłym obwodzie horyzontu dla ziemskich spraw, — tam przejął Reymont tę arcyludzką filozofię, co wzniosły idealizm dla właściwego praktykowania ujmuje w ramy czerstwego realizmu.

Solą w tej filozofji jest humor chłopski i zdrowy sens...

Najzdrowszy pokarm dla głowy i najprzydatniejszy dla epickiej konstrukcji — cement!...

Duch, co porywa i niesie wszystko —

zmysł, co postrzega wszystko —

mądrość co układa wszystko — i oto pełnia tego uniesionego w patosie świata, zestrojona linjami przejrzystej harmonji — epos!

Niebo i atmosfera, ziemia z roślinami i z rozmaitym stworem, człowiek w najprzeróżniejszym kształcie, — wszystko, co stanowi ten praworządny, zaakceptowany entuzjastyczną duszą świat, płynie w szerokich brzegach epopei, odbijając w swej ruchliwej fali oblicze Twórcy.

W tym rozszerzającym się w nieskończoność świecie wszystko posiada swoje prawo życia, co małe i wielkie — wszystko jest równe wobec Boga, niema rzeczy ważniejszych i niema mniej ważnych, bo wszystko pracuje w duchu Bożym.

Codzienność ludzka, kłopot mizerny i dreptanina, jak znowuż paryw płomienny w cnocie czy w grzechu, miłość i nienawiść, tkliwość i gniew bezbrzeżny, żal, smutek cichy i czarna okrutna rozpacz — i uśmiech najsłodszy zachwytów i pogarda, szyderstwo i śmiech ten najszczerszy, niepowtrzymany, dostojność świąteczna — wszelkie drgnienie duszy człowieczej i wszelki jej odcień — wszystko uznane i rzucone drżącemi w uniesieniu rękami w wir kosmicznej fali eposu.

Od tchu wielkiego i rozmachu kształt się brał rzeczom, zjawiskom i ludziom olbrzymi, prawdziwie mityczny, jak ten krojony miarą Homera.

Bohaterowie „Chłopów” — to zupełnie jak tamte greckie herosy, gdyż — jak oni — żyją w ciągłem poczuciu obecnego bóstwa, gdyż — jak oni — działają najczęściej pod wpływem nietemperowanych impulsów,

gdyż — jak oni — w pracy swej i zabiegach stosują się do niewzruszonych form zwyczajowych.

Oto styl i smak widzenia, zdolnego do najwyższych zachwytów i najgłębszych wybaczeń.

Na użytek tego widzenia biegło posłuszne słowo, by łączyć się z innemi w patrjarchalny rytm powagi w momentach obrzędu, tętnić wrącą krwią w szale namiętności, wirować w zawrocie tańca, skrzyć się i rozpryskiwać w wybuchach śmiechu. W tym rytmicznym układzie słów, co idą po sobie w najprzeróżniejszych spadkach — najżywsza zapewne treść epopei przepływa, ten żywy i nieśmiertelny puls Reymontowego serca.

Mówiliśmy między sobą nieraz, tu i owdzie było nawet napisane, że „Chłopi” niechętnie są czytani właśnie przez chłopów.

Mnie się wydaje jasne: „Chłopi” Reymonta nie są do papierowego czytania, jak nie jest do takiego czytania każdy prawdziwy kształt poezji. Jestem przeświadczony, że wiejskim ludziom, czułym na wszelką muzykę, musi przypaść do gustu i porwie ich dopiero należycie słyszany tok Reymontowego słowa.

Uważam, że t. zw. literatura piękna w papierze niezbyt się przyjmowała na gruncie wiejskim i teraźniejszy czas tembardziej nie będzie sprzyjał jej przyjmowaniu.

Ale to właśnie nie dowód, żeby „Chłopi” Reymonta nie znaleźli najgościnniejszego przyjęcia w masie chłopskiej, kiedy się jej objawią w jedynie pełnej formie — to jest w recytacyjnej wypowiedzi

Przemówi do nich i urzecze ich czar muzyki, ta składnia obrotna i płynna, to słowo jędrne, mięsiste, to dzwonne jak spiż...

Bo jakżeby inaczej było — powiedzcie?..

Czyjże to zmysł, jak właśnie nie chłopski, będzie podziwiał urok tego radosnego w pięknie słowa?

Czyje to serce, jeśli przedewszystkiem nie chłopskie, będzie tętniło pulsem gorących spraw w jego eposie?

Czyje myślenie, gdyby głównie nie chłopskie, przejmie i rozwinie kwiaty prawd ludzkich, które tak pysznie błyszczą w słońcu tej poezji?..

Świadomy i odpowiedzialny za naród ruch chłopski stoi przy Reymoncie i jego dziele, jak on stał przy tym ruchu nietylko w poezji, ale i w formalnem krewieństwie, kiedy przystąpił do Stronnictwa Ludowego i pozostał mu wierny do ostatnich swoich dni.

Niechże i ten skromny hołd, jaki dzisiaj składa Mu młodzież wiciowa, organizując akademję w 10-tą rocznicę Jego śmierci, będzie wyrazem pamięci i wierności dla Wielkiego Chłopa-Artysty, w którym się objawił wspaniały kształt — Polaka i człowieka...

Młodzież chłopska słyszy i ciągle będzie słyszała te najwyraźniejsze dla siebie słowa Borynowego manifestu:

„NARODZIE KOCHANY —
LUDZIE CHRZEŚCIJAŃSKIE —
POLAKI —
TO MÓWIĘ WAMA, ŻE RADY JUŻ INSZEJ NIEMA, JENO SAMI MUSIMY SWOJEGO DOBRA BRONIĆ, GROMADĄ CAŁĄ IŚĆ I BORU RĄBAĆ — NIE POZWOLIĆ!”...

WIEŚ W HOŁDZIE REYMONTOWI

Dnia 26 stycznia b. r. Wiciowy Związek Młodzieży Wiejskiej R. P. urządził w sali Konserwatorjum w Warszawie uroczystą akademję ku czci Władysława Reymonta.

Nie była to jednak jakaś „akademicka", urzędowa „akademja", gdzie blask i blichtr, sztywna odświętność, poza i oficjalna nuda prym zwykle wodzą. Powiem bez przesady: nasza, z pozoru (i tylko z pozoru) „skromna", z nazwy (i tylko z nazwy) „akademja" była prawdziwem świętem, prawdziwą biesiadą serc i dusz chłopskich. Przemówiła na niej sama nasza umiłowana ziemia, przemówiła swą mocą, swą wielką poezją, swojem jedynem pięknem. Żywo zatętniła wtedy w duszach uczestników ta, niczem niezastąpiona, miłość ku „Matce dzieciom, żywicielce, dostojeństwem swobód wielkiej"... Ustami świetnych artystów przemówił i napełnił swą obecnością umysły zebranych, syn najwierniejszy tej ziemi, genjusz polskiej rasy chłopskiej — Władysław Reymont. Bo nietyle tu o nim mówiono, ile on sam — i to, co jest pięknem i mocą wsi naszej. I to właśnie należy podkreślić przy omawianiu tego rodzaju uroczystości. Czci się bowiem wielkiego człowieka przedewszystkiem ujawnieniem potomnym jego duszy i zjednoczeniem się z tą jego duszą.

Użyję tu dla przykładu prostego porównania. Na akademji ku czci Żeromskiego, która odbyła się w tej samej sali dnia 6.XII 1935 r., słowa mówców: literatów i poetów prawie zupełnie przesłoniły sobą samą postać genjalnego twórcy. A spośród tych słów, niestety, zaledwie kilka było cennych i wartościowych. Z samego Żeromskiego pozostało tutaj — jego martwe wyobrażenie w pięknej rzeźbie spiżowej. On sam jednak był tu — nieobecny... My zaś mieliśmy wielkie szczęście obcować — nie z rzeźbą czy obrazem, ale — z samym Reymontem. Oto cała różnica między typową „akademją" i — formą tylko „akademji". Poraz pierwszy można było nie już zwyczajnie „zrozumieć", ale całą duszą i sercem odczuć to, czem jest dzieło Reymonta w jego istotnym sensie, tak ideowym, jak artystycznym.

I trudno tu w kronikarski sposób opisywać przebieg tej niezwykle pięknej i podniosłej manifestacji wsi — pod kierunkiem jej wielkiego pisarza: Reymonta. Bo przecież to, co wypadnie mi tutaj podać, to raczej rzeczy zewnętrzne, w których i poza któremi tkwiła i tkwi wspaniała treść.

Uderzył ostatni dzwonek. Na salę wchodzi wielki chór Jana Maklakiewicza. Brzmi „Hasło" Surzyńskiego, potem — „Zaszumiał las"... Śpiew milknie. Zjawia się szczupła, smagła twarz poety Stanisława Młodożeńca. Padają gromkie słowa: „Narodzie, ludzie kochane"... Temi potężnemi słowami prelegent odrazu porywa i skupia umysły słuchających wokół wspaniałej w nich zawartej idei*). W tem samem skupieniu utrzymuje myśli i uczucia zebranych aż do końca swego odczytu, zamkniętego tem samem, co na wstępie, hasłem - wezwaniem Reymontowem.

Ukazuje się na estradzie Marjusz Maszyński. Recytuje z pamięci Reymonta „Wojenko, wojenko", a potem z „Chłopów" sprawę Bartka Kozła przed sądem. Słuchacze są oczarowani żywem słowem Mistrza i artysty — Reymonta i Maszyńskiego — plastyką tego słowa, jego rozmachem, barwnością i melodją. Jakże to? Każdy z nas przecież zna te rzeczy, czytał je, a przecież tego wszystkiego tak, jak teraz, nie widział, nie słyszał, nie dostrzegał. Dlaczego? Dlatego, bo — jak słusznie powiedział Młodożeniec, — dzieła Reymonta nie należą do „papierowej literatury". Nie wystarczy oczyma je czytać, trzeba je wygłaszać, trzeba żywem słowem ożywić tętniące w nich życie.

---

*) Przemówienie Stanisława Młodożeńca drukujemy w dzisiejszym numerze „Młodej Myśli Ludowej". *Red.*

Prawdziwe w tem odkrycie: Reymont, pisząc nie widział liter, słyszał każdy wyraz i zdanie, widział każdy obraz i sytuację i jako słyszane i widziane je oddawał. Stąd, prócz innych przyczyn, ta żywotność i żywiołowość jego słowa. I dlatego można bez żadnej przesady czy przenośni powiedzieć, że w niem naprawdę żyje wieś polska... Słuchamy i nie wiemy, co bardziej podziwiać: Reymontową genjalność czy mistrzowstwo p. Maszyńskiego. Bo cóż to za opanowanie treści, jakżeż umiejętne, znakomite operowanie skalą głosu, jego barwą, dynamiką, jakaż w tem plastyka, jakżeż subtelne cieniowanie muzyczne!

Cóż powiedzieć o pięknych piosenkach ludowych p. Anieli Szlemińskiej? Za jedną z nich, tak prostą, a tak charakterystyczną dla muzyki wsiowej, za tę od słów: „Siodłaj konie" — gotowiśmy nie znać całej rozkrzyczanej, banalnej, zblazowanej „poezji" (!) miasta... Urok padał na serca i dusze od tych słów, od tej melodji o „ptaszku skowroneczku", o „słońcu i pogodzie"... od tego „miesiąca", „mazurków" — od wszystkich tych prawdziwych pereł muzyki i samorodnej poezji. Śmiała się beztrosko, tańczyła z rozmachem, rzewnie tęskniła i płakała wieś nasza w tych melodjach. Oddał je przepiękny głos p. Szlemińskiej, głos o metalicznym dźwięku skrzypiec i czarującej świeżości. Każdy z nas wrócił tam, w swój opuszczony dom, w swoją wieś — i chłonął powtórnie to, z czem wzrósł, na czem się wykołysał i wychował.

Występuje p. Marjan Trojan. Recytuje z „Chłopów" wesele Macieja Boryny. Grają, śpiewają, wieś bawi się i tańczy, ta wieś wczorajsza, szczęśliwsza pod niejednym względem od tej dzisiejszej. A potem — miesięczna noc... śmierć Borynowa. Ten siew... I ten głos ornych stajań: gospodarzu, ostańcie z nami... Ziemi wołanie, kosmiczny zew serce i duszę targa, porywa, że iść, że biec i tak, jak on gospodarz, paść twarzą w umiłowaniu i tęsknocie, wezbranej do ostatnich granic...

Następują trzy jeszcze pieśni chóru p. Maklakiewicza: „Hej, dziewczyno" — pełne fantazji i uroku młodego serca — a potem rzewne: „Zamąż mnie wydała" — i wreszcie Konopnickiej z „Pana Balcera": „Idziem do Ciebie". Brzmią organy. Zawieja tonów, cały ich las... Rozmach, wiara i ufność i ta chłopska gotowość do prac i trudów i wola żelazna i niezmierzona miłość tętnią w tym wspaniałym hymnie...

I z dumą podkreślić należy, że największego Syna ziemi czciły nie króle, nie elitarne pany z orderami, nie pasowani, urzędowi literaci, ale wieś sama, ale wykształceni, kulturalni i utalentowani chłopi. Do nich to przyszła ta, której dane było codziennie współżyć z pracą i triumfami największego Epika naszej ziemi — Czcigodna Pani Reymontowa.

Nasz bowiem jest i Młodożeniec i świetny znawca pieśni ludowej Bronisław Rutkowski, który dał dużo pomocy w organizacji uroczystości, i Maklakiewicz. W jego doskonale ześpiewanym zespole widziało się twarze ludzi pracy. Ci, którzy tu odtwarzali poezję i piękno duszy wsi, wczoraj wieczorem odłożyli narzędzia ciężkiego trudu na chleb codzienny, by dziś — śpiewać ku czci Reymonta i polskiej ziemi. To prawdziwi, z bożej łaski, głębocy i szczerzy miłośnicy sztuki, która stała się im nie zawodem, ale potrzebą i koniecznością. — Na sali, u uczestników tej nieakademickiej „akademji", często dostrzegało się twarde, zaharowane dłonie... Ci, którzy niemi pracują, przyszli — nie dlatego, że to „wypada", ale że ich ku temu pociągało serce i zrozumienie jednej, łącznej Sprawy chłopskiej i jej największego przed światem orędownika: Reymonta.

Wielka serdeczność, entuzjazm i miłość, to niecodzienne podniesienie serc i dusz— stanowiły ton całej uroczystości. I na tem szczególnie polega jej wyjątkowość i jedyność. Podniosła nas ona duchowo, scementowała pod względem ideowym, napełniła szlachetną i mądrą dumą, wynikającą z unaocznienia nam bogactwa naszej kultury ludowej, wzmogła w nas ufność i wiarę w nasze jutrzejsze poczynania.

(Ł. s.)

O GRYPIE I WODZIE

Nie od dzisiaj życie wsi zajmuje twórców, nie od dzisiaj również synowie chłopscy poczynają stawać w pierwszych szeregach poetów i powieściopisarzy. Nie o to mi zresztą chodzi. Sztuka, która sięga po wizję lepszego i piękniejszego życia, chociażby — co zresztą bywa — za temat swój brała najgorszą rzeczywistość dnia obecnego czy dawnego, — doszukuje się wartości trwałych, wiecznych, bo te jedynie stać się mogą pokrzepieniem serc. Różne też drogi wiodą twórczość do odkrycia w świecie i życiu tych cennych ziarn, których ukazanie się w pełnem świetle dowodzi sensu borykania się człowieczego na ziemi. Dla nas, odbiorców literatury, podobnym momentem jest sprawa stosunku autora do opisywanej rzeczywistości, w tym wypadku wsi.

W ostatnich latach, kiedy w sposób, dotąd niespotykany, ujawniła się pustka i marazm rzeczywistości burżuazyjno-miejskiej, oczy pisarzy zwróciły się znowu na chłopa. Jedni posuwają się do apoteozy chłopa, drudzy — realiści — starają się dać obraz wsi, niepozbawiony ni światła ni cieniów, jeszcze inni — żerują na tematach chłopskich, wyczuwając nakazy mody literackiej. Nie znaczy to, by ci ostatni, opisując życie chłopskie, które ich w gruncie rzeczy ni ziębi ni grzeje, nie umieli stworzyć dzieł wartościowych. Owszem. Różnica pomiędzy nimi, a prawdziwymi piewcami wsi zachodzi ta, że treść wiejska nie jest dla nich ostatecznem odwołaniem się artystycznem (ideą), lecz stanowi przedmiot drwin, zaprzeczenia, negacji.

Ta okoliczność sprawia, że podobne dzieła, dostając się do rąk inteligenckich z jednej, do rąk czytelników na wsi — z drugiej strony, powodują zamęt w pojęciach. Mieszczuch, który usiłuje reprezentować wszystkie wady i wszystką ograniczoność stosunku szlachecko-ziemiańskiego względem chłopa, utwierdza się pod wpływem podobnych książek w swej „kulturalnej" postawie wobec wsi; chłop, suggerowany tendencyjnemi obrazami o swem życiu, poczyna się chwiać moralnie, coraz mniej dostrzega gruntu pod nogami, to też jedynem jego marzeniem staje się ucieczka od samego siebie. Ile tą drogą wieś straciła, nie trzeba dowodzić. Powiedziećby o tem mogli endecy, kapituły biskupie i wszyscy ci, którzy — w małości i naiwności swej — pośpiesznie się wysferzali.

Do pisarzy, ideowo ze wsią nie związanych, należy autor książek pt. „Grypa szaleje w Naprawie" i „Woda wyżej"[1]). Pierwsza z powieści traktuje o życiu podhalańskiego Jordanowa i jego okolicy, tematem drugiej jest katastrofalna powódź 1934 r., która największe spustoszenia poczyniła we wsiach, położonych przy ujściu Dunajca do Wisły.

„Grypa szaleje w Naprawie" stała się i przez to głośną, iż autor otrzymał za nią nagrodę literacką Polskiej Akademji Literatury. Orjentując się dobrze, kto P.A.L. powołał do życia i kto w niej gra pierwsze skrzypce, rozumiemy doskonale, dlaczego wybór padł na „Grypę". Żadna chyba z powieści pomajowych nie utwierdziła w takim stopniu przez odpowiednie naświetlenie stosunków wiejskich, sanacyjnej racji stanu, co Jalu Kurka. A to zobowiązuje...

Ideą „Grypy" jest wykazanie beznadziejności życia wiejskiego i małomiasteczkowego. Zasadniczym chwytem autora jest ironja i ośmieszanie wszystkiego i wszystkich, zaprawione dużą dawką erotyzmu. Nanszalancją stylu stara się tutaj pisarz pokryć wszelkie braki i ślizgania się po powierzchni zjawisk i problemów życia. Po przeczy-

---

[1]) Jalu Kurek: „Grypa szaleje w Naprawie", „Woda wyżej". Warszawa, Gebethner i Wolff.

taniu książki powstaje w nas tosamo uczucie niesmaku, jakiego doznawalibyśmy po wysłuchaniu dziesięciogodzinnej gadaniny typowych złośliwych plotkarek. A plotkarstwo może być również bardzo ciekawe... Zwłaszcza, jeżeli ktoś darem plotkarstwa przez naturę obdarzony. Dowcip cały polega na tem, ażeby zauważyć, jak się ludzie po wypróżnieniu czują, ile waty zużyć trzeba przy menstruacji, kto, gdzie, z kim, ile razy i w jaki sposób... Gdyby tych łatwiutkich i niezbyt pochlebnie o inwencji twórczej autora świadczących obserwacyj w powieści brakło, mielibyśmy do czynienia z nudną piłą, którejby nikt do końca nie doczytał, jeśliby wydawca wogóle chciał ją w świat puszczać.

Zostawmy jednak na boku „niebardzo podłe miasto" Jordanów, którem narówni ze wsią Kurek się w „Grypie" zajmuje. Ciekawy jest stosunek autora do wsi i jej życia. Pisze o niem autor dlatego, że „niema nikogo, żeby o nędzy pisał"..., niema kto „wejść w lud, w tłum ciemny i niski, i uświadamiać go"... Zatem — znalazł się piewca! Przesuwają się więc kolejno przed naszemi oczami obrazy tych, u których „cienko z żarciem"(!), co to „żadnych (!) zachwytów nad ziemią nie mają"; robią podczas żniw po nocach, gdyż lękają się spiekoty słońca(!) za dnia; gwałcą ciężarne kobiety; rozmyślnie zarażają dziewczęta, „pospolite drągi", chorobami wenerycznemi; obrazy ciemnoty, tępoty, wyuzdania i wyzucia ze wszelkich uczuć ludzkich. Kiedyśmy się już jako tako owej „poezji" nałykali, ni stąd ni zowąd zwraca się do nas autor apostolskim tonem: „Przyjmijmy w siebie treść wiejskiego życia". Przecieramy oczy — nie łudzimy się: strona 169! Nastrój paszkwilu na wieś, boć trudno inaczej „Grypę" nazwać, sprawia, iż żaden obraz późniejszy nie wzrusza nas, jakkolwiek niektóre z nich — zwłaszcza śmierć Franka — wskazują na silne angażowanie się ludzkiego serca autora. Mimowoli szukamy wyjaśnienia przedziwnego stanowiska Kurka względem wsi. Humanitarysta, antyklerykał, antymilitarysta (coprawda swoisty!), podkpiwający z wyczynów strzeleckich. Dochodzimy do przekonania, iż mamy do czynienia albo z umyślnem lawirowaniem albo z bałaganiarstwem ideowem, płynącem z nieugruntowanego światopoglądu.

Ten sam styl reportersko-dziennikarski, co w „Grypie", spotykamy w niedawno wydanej książce „Woda wyżej". Podchorąży Makara, wracając z urlopu do pułku, zatrzymuje się wskutek powodzi w Tarnowie i otrzymuje dowództwo Ośrodka Pracy numer czternaście w Luśni nad Dunajcem. Odtąd, przez kilkanaście dni, śledzimy katastrofalne rozmiary powodzi i akcję ratunkową wojska. Opis wypadków powodziowych próbuje autor urozmaicić dygresjami na temat życia wojskowego w szkole podchorążych, zaś końcowe stronice książki wypełnia mętnemi rozmyślaniami bohatera powieści na temat ogłupiającego systemu karności wojskowej.

Jak w „Grypie" tak i tutaj z trudem doszukać się można sensu książki. Nie wiemy, czy autor przypadkowo poważnie nie bierze słów: „Najpierw kanonier. Potem długo nic i jeszcze długo nic i jeszcze potem długo nic — aż wreszcie onuca i cywil". Stwarza bowiem taką atmosferę, iż gdyby w miejsce wyrazu „cywil" wstawić wyraz „chłop" — pasowałoby to do nastroju powieści doskonale! Miejscami z pasją zdaje się walczyć o człowieczeństwo, nietyle jednak Makary, który jest synem chłopskim z Lisiej Góry (dziwne, że Tarnowa nie zna...), ile Makary — podchorążego, który „znał chłopską rasę i wie, czego trzeba ludowi ciemnemu", to też traktuje chłopów per „wy dranie! wy głupcy!" Nie rozumiemy absolutnie tego, jak można kochać ludzkość, a nie kochać człowieka-chłopa?! Jak psioczyć na pedagogję wojskową, a równocześnie apoteozować jej wyniki?!! Niejeden bowiem raz podkreśla autor, że chłopi ze wsi zagrożonych zdolni są w obliczu niebezpieczeństwa załamywać ręce, tchórzyć, kiedy zorganizowana garstwa wyrostków pod kierunkiem Makary ratuje wsie całe przed zagładą!...

Kto widział powódź na własne oczy, — ba! obserwował bodaj pożar na wsi, ten, czytając „Wodę wyżej" Kurka, dojdzie do przekonania, ile bezmyślnych kalumnij

pod adresem chłopa rzuca autor. „Wielu chłopów młodych i zdrowych stoi na wale, żaden jednak z nich nie ruszy się na pomoc bliźnim i dobytkowi"; „w Biegrzycach dopiero pod groźbą bagnetów zmuszono chłopów do ratowania"; „Makara nie zobaczył..., że chłopi... wał... rozkopali" i t. d.! i t. d.! I znowu mowa, jak w poprzedniej powieści, o zemście chłopskiej, ciemnocie, tchórzostwie, braku wogóle ludzkich uczuć, a po chwili: „Tyle tu można zdziałać dla biednego ludu!".

Ktoś dowcipnie powiedział o powieści Kurka: „Woda wyżej — poziom niżej". Istotnie. O ile „Grypa" daje pełen siły suggestywnej obraz życia, mniejsza o to, czy z naszego puntku widzenia prawdziwy czy nie, o tyle „Woda wyżej" nawet jako dzieło literackie jest książką lichą. Widać to wyraźnie właśnie dlatego, że autor za przedmiot opisu wziął potęgę żywiołu. W książce nie czujemy ani mocy niszczącej ani grozy, ni ogromu klęski, ni tragizmu ludzi ginących. Nie mogła poruszyć wyobraźni autora dola tych, z którymi nic go nie łączy, których nie odczuwa i nigdy nie odgadnie.

Oczywiście, nie odmówi nikt Kurkowi prawa pisania o wsi i chłopach i nikt go prosił o to nie będzie, ażeby swoją trzydziestoletnią obserwację wsi" (patrz: pięćsetny numer „Wiadomości Literackich", artykuł Kurka: „Co słychać w Naprawie") zechciał zrewidować i dostrzec u chłopa coś więcej ponad to, czemu dał wyraz w swoich powieściach. Umiemy jednakże wyciągnąć wnioski, dotyczące tych stosunków u nas, dzięki którym autorzy „Gryp" i „Wód" są nagradzani, zaś „Drogi przez wieś" z trudem przebijają się przed kolczaste druty cenzury.

(f. m.)

WŚRÓD ZAGADNIEŃ

Z KIM »WSPÓLNY FRONT«?

Od niedawna, w pewnych sferach gorączkowo modne stało się hasło „frontu ludowego". Myśl sama — przyznać trzeba — jest zdrowa i żaden lewicowiec nic nie może mieć przeciwko jej uczciwemu realizowaniu. Wypada tylko rozpatrzeć się: kto, z kim, w jakim celu i przeciwko komu ma tworzyć „front ludowy", oraz przyjrzeć się praktycznemu jego realizowaniu. Tembardziej trzeba to zrobić, że spowodu tego „frontu" i pod płaszczykiem „frontu" zaczyna się urządzać ordynarne „kanty".

Możemy służyć przykładami. Oto gdzieś — choćby w powiecie radzymińskim — przychodzą do kół wiciowych działacze pepesowcy i proponują założenie organizacji socjalistycznej. Teraz — powiadają — tworzy się wspólny front chłopów i robotników, więc... zapisujcie się do Polskiej Partji Socjalistycznej!

Ale to drobiazg. Może to tylko miejscowy gorliwy działacz robotniczy tak swoiście rozumie „front ludowy" i tak swoiście go „realizuje", że... musi być wyproszony ze wsi, by nie rozbijał organizacji wiciowej i Stronnictwa Ludowego.

Że pięknej i słusznej idei „frontu ludowego" zaczyna się używać jako podrywki polityczno-taktycznej w stosunku do chłopskich organizacyj demokratyczno-antykapitalistycznych, są na to poważniejsze argumenty. Szczególnie jaskrawo wychodzi na jaw cała obłuda „frontowcowa", gdy się przyjrzeć taktyce komunistów, którzy dziś są najgłośniejszymi zwolennikami „frontu ludowego". Gotowi bić się dziś o demokrację, której organicznie nienawidzą; przysięgają wierność parlamentaryzmowi, na który wiele lat pluli, a o którym u siebie, w Sowietach, zapominają. A z drugiej strony: ani słowa nie wspominają już o „dyktaturze proletarjatu", zapomnieli o „kułakach", poczynają zach-

wycać się... agraryzmem! Wszystko to, w przekonaniu naszem, oznacza **nieuczciwą grę**. Grę według starej, jezuickiej zasady: cel uświęca środki.

Ten manewr taktyczny nikogo nie zdoła wprowadzić w błąd. Sprawa „frontu ludowego" w gruncie rzeczy musi się sprowadzić do ustalenia: **kto, w imię jakich celów i z kim ma tworzyć „front ludowy"?** Wilk z jagnięciem, ani jastrząb z gołębiem nie będzie tworzył „wspólnego frontu" w obronie przed napastnikiem. Demokratyczne ugrupowania chłopskie nie mogą tworzyć wspólnego frontu ze zwolennikami dyktatury, choćby „dyktatury proletarjatu". To byłby absurd. Niemożliwość tworzenia tego rodzaju frontów zdają się widzieć i demokratyczne partje socjalistyczne. Poza Francją, gdzie doszło do porozumienia niektórych odłamów lewicy z komunistami (w jakże innych warunkach, niż Polska, posiadająca wspólną granicę z Sowietami!) — bodajże niema drugiego kraju, gdzieby socjalni demokraci poszli na tworzenie „wspólnego frontu" z komunistami.

W Belgji rada naczelna partji socjalistycznej wypowiedziała się przeciw wspólnemu frontowi z komunistami, motywując to przekonaniem, że nastąpi organiczne zjednoczenie sił proletarjackich pod sztandarem socjalizmu.

A o decyzji angielskiej Partji Pracy **„Daily Herald"** tak pisze:

„W chwili obecnej robotnicy angielscy są mniej skłonni niż kiedykolwiek do łączenia się z komunistami"... „Doniedawna jeszcze komuniści zwalczali demokrację i parlamentaryzm, obecnie występują jako gorliwi obrońcy ustroju demokratyczno-parlamentarnego. Propozycja współpracy z angielską Partją Pracy była jedynie próbą stworzenia w Anglji szerszego pola dla propagandy komunistycznej".

Również XII Zjazd Polskiej Socjalistycznej Partji Robotniczej w Czechosłowacji nie ugiął się pod pieszczotliwem głaskaniem i zalotami komunistów. Bardzo grzecznie pochwalił zmianę poglądów partji komunistycznej, ale uważa, że czas jedności akcji z komunistami jeszcze nie nadszedł.

To słodkie ćwierkanie komunistów o „wspólnym froncie" w „obronie demokracji" przed faszyzmem wcale nie przeszkadza, aby w tym samym czasie w Sowietach wolność i demokrację walić obuchem dyktatury biurokracji sowieckiej. Biuletyn Międzynarodówki Socjalistycznej podaje, że **„w ostatnich miesiącach zapanował nowy teror przeciw socjalistom w Rosji Sowieckiej"**, że setki socjalistów, puszczonych niedawno na wolność, zostało ponownie aresztowanych i bez przyczyny skazanych na nowe kary więzienia i odległe zesłanie. Biuletyn przytacza przytem kilka przykładów haniebnego znęcania się nad więźniami, oraz podaje wiadomość o głodówkach urządzanych przez więźniów socjalistycznych.

To się dzieje w Sowietach. Wiadomości te podaje nie jakaś czarnosecinna agencja, ale biuletyn socjalistyczny.

Z zestawienia tych wszystkich faktów dla nas, ludowców, wynika jedna wskazówka: front ludowy trzeba tworzyć, ale tylko z demokratyczno-antykapitalistycznemi organizacjami na zasadach uczciwego i szczerego współdziałania. Front ludowy **na dziś** — dla walki z faszyzmem **i na jutro** — dla budowania gmachu Polski Ludowej.

Vis.

ROJENIA MONARCHICZNE

Polscy zwolennicy monarchji zorganizowali niedawno w swoim organie („Głos Monarchisty") ankietę na temat monarchji w Polsce i ewentualnych kandydatów na tron. W ankiecie brała udział spora liczba „poważnych" osób. Wiele z nich wypowiedziało się za dynastją książąt Czartoryskich, spokrewnionych z francuskimi Burbonami i Orleanami, niektórzy radziby widzieć na odrestaurowanym tronie polskim jakiegoś członka króleskiego domu angielskiego, inni znowu wysuwali innych kandydatów...

Jak widać, dla pewnej części społeczeństwa polskiego najważniejszem dzisiaj zagadnieniem jest kwestja takiego lub innego nawrotu do monarchji. Oczywiście, monarchiczne koncepcje zbiegają się z sanacyjnemi koncepcjami „elity". Tam bowiem, gdzie monarchja — musi być dwór i „elita" i odwrotnie: „elita" bez monarchji, to jak musztarda bez mięsa.

Rojenia monarchiczne w Polsce nie są tylko zabawką starszych, stetryczałych panów, dla których marzenia o dynastji polskiej kojarzą się ze wspomnieniami o „dobrych" czasach za dynastji — panie dobrodzieju — obcych. Zabawiają się temi rojeniami i młode endecząta. Niedaleko wszak pada jabłko od jabłoni. Stare endeki niebardzo się buntowały przeciw Mikołajom, Franciszkom i Wilhelmom — młodsze endeczątka pragną też „zbawiać naród" przy boku monarchy.

Oto wychodzi w Warszawie młodo-endeckie pismo „Nowy Ład". W jednym z ostatnich jego numerów znajdujemy dyskusyjny artykuł Jana Korolca p. t. „Ustrój polityczny nowej Polski". W artykule tym czytamy między innemi takie oto wynurzenia: „Godność naczelnika państwa powinna być dożywotnia. Tylko bowiem w tym wypadku będzie on czynnikiem niezależnym i nadrzędnym, tylko w tym wypadku będzie czynnikiem stałym w polityce, poręczającym zachowanie tradycji politycznej".

„Naczelnik państwa — czytamy dalej — powinien mieć za sobą aprobatę całego narodu. Z drugiej strony wybór jego w sposób taki, w jaki odbywa się wybór prezydenta w Stanach Zjednoczonych lub doniedawna w Niemczech, to narażanie kandydata na ataki, nieodłączne od wszelkiej agitacji wyborczej, to doprowadzenie do takiego stanu, że elekt będzie reprezentantem nie całego narodu, ale tylko tej części, która na niego głosowała". Aby zapobiec tym niepożądanym konsekwencjom, należałoby narodowi przedstawiać tylko jednego kandydata do „wyboru". Naród miałby się tu tylko wypowiedzieć za lub przeciw, głosując za nim lub nie głosując wogóle. Okres wyborczy jednak musiałby być krótki, by nie było czasu na agitację.

„Sądzę — pisze dalej Korolec — że koronacja, połączona z obrzędami religijnemi, dodałaby autorytetu elektowi w szerokich warstwach społeczeństwa. Zwłaszcza zaś na wsi naczelnik państwa w koronie będzie miał większy autorytet od głowy państwa w cylindrze".

Naczelnik państwa nie byłby jednak czynnikiem decydującym. Tym czynnikiem będzie „musiało być — czytamy — ciało zbiorowe, nazwijmy je, zgodnie z tradycją polską, senatem. Senat powinien być ciałem nielicznem, składającem się z kilkudziesięciu osób, które poza paroma wirylistami, mianowane będą przez króla". Senat ten, obradujący pod przewodnictwem króla, miałby ustalać wytyczne polityki polskiej; wyłaniać rząd, mianowany przez króla do załatwiania bieżących spraw politycznych. Oczywiście, obok króla i senatu byłby sejm, wywodzący się z powszechnych wyborów. Sejm ten byłby organem opinji publicznej.

Oto podstawowe zasady ustroju politycznego „nowej Polski", wyłuszczone przez jednego z młodo-endeckich ideologów. Ustrój ten ma być najwłaściwszy dla Polski i zgodny z jej tradycją.

Zapomniał autor — jak fatalnie skończyła się owa tradycja i dla Polski i dla tronu. Aleksander Świętochowski w „Genealogji teraźniejszości" pisze, że Katarzyna Wielka, carowa rosyjska, tron ostatniego króla polskiego kazała przywieźć do Petersburga i zrobić sobie z niego... siedzenie kloaczne. Pocóż więc nawiązywać w życiu nowej Polski do tradycji, która tak fatalnie się skończyła?! Czyż nie lepiej zacząć tworzyć dla nowej Polski nową tradycję?!

A zresztą jedno niedyskretne pytanie pod adresem p. Korolca: a coby było, gdyby się tak dostał na tron polski jaki ukryty mason? Rządziłby Polską dożywotnio, mianował senatorów, ministrów i na każde śniadanie zjadał po jednym endeku. Czyż nie ściągnąłby niesławy i na Polskę i na tron, z taką gorliwością z dawnej niesławy wymyty! Chyba, że wtedy endeki „znalazłyby" na takiego króla ten sam „narodowy" sposób, jakim się popisały w stosunku do Pierwszego Prezydenta Polski!

Chłopom radzę, aby, zanim endeki zaczną im króla wyświęcać, „wyświęcali" gruntownie i skutecznie endeków ze wsi, ile razy się tam pokażą!

j.

WIEŚ PRZECHODZI Z RĄK DO RĄK

Krwawy bój toczy się o wieś. Trudno nawet z dotychczasowego przebiegu walki osądzić, która ze stron osiądzie na laurach. Siły zdają się być równe. Wieś co chwila dostaje się w inne ręce. Dzieje się coś podobnego jak z osławioną Olszynką Grochowską, co to w czasie wojny polsko-rosyjskiej w ciągu jednego dnia przechodziła kilkakrotnie z rąk do rąk.

Oto niedawno, bo zaledwie parę tygodni temu, „Życie Robotnicze" pismo P.P.S-u wychodzące w Radomiu, po ciężkich zmaganiach i zbombardowaniu przeciwnika, ogłosiło: „Wieś jest nasza" — socjalistyczna.

Niedługo jednak trwał spokój. Nastąpił kontratak z prawego skrzydła. Akcją kierował krzykliwy „Goniec Warszawski". Przedewszystkiem zastosowane zostały gazy ogłupiająco-trujące marki „narodowej", następnie zatrajkotały karabiny maszynowe systemu „radykalizm narodowy", zawtórowały ogłuszającym hukiem działa wypróbowane przez Hitlera — tak zw. „Bij żyda", do tego kler bitwie pobłogosławił i w rezultacie dowiedzieliśmy się o zwycięstwie, o jakiem żadnemu śmiałkowi nawet się nie śniło. Oto właśnie ów „Goniec Warszawski" (za jedne 10 groszy!) w artykule z dnia 17.II. b. r. przyniósł rewelacyjną wiadomość: „Już teraz wieś jest narodowa"!

Artykuł gońcowy został zamieszczony w odpowiedzi p. Niedziałkowskiemu, który w artykule swym zamieszczonym w „Robotniku" pisał, że t. zw. narodowcy niewątpliwie mają pewne wpływy wśród młodzieży na wyższych uczelniach, co zresztą łatwo da się wytłumaczyć. Wiadomo przecież, że możność kształcenia się na wyższych uczelniach mają obecnie tylko synowie obszarników, kapitalistów, wszelkiego rodzaju kołtuństwa i elity, żyjących z wyzysku mas pracujących. Natomiast jeżeli chodzi o wieś, to p. Niedziałkowski zauważa, że tutaj wśród młodzieży mają coś do powiedzenia „wiciowcy". „Goniec" zaś w swym artykule polemicznym wykazał tyle naiwności i kołtunerji, że poprostu nie chce się o tem pisać. Widzi on bowiem wszystko zaróżowione na kolor narodowy i nie chce wcale widzieć tego, co na wsi narasta. Nie chce wziąć pod uwagę tego, że chłop, jak również robotnik, jasno uświadamiają sobie bujdy „narodowego radykalizmu". Za bujdę bowiem uważać należy i takie powiedzenie gońcowe: „Istotą programu narodowego jest walka o władzę poto, żeby władzy tej użyć na radykalną przebudowę życia".

Naprawdę, obiecujące słowa! Chcielibyśmy się jednak na tem miejscu zapytać: co panowie kapitaliści z „Gońca" rozumią przez „radykalną przebudowę życia"? Czy

panowie z „Gońca" zgodzą się naprz. na reformę rolną bez odszkodowania — na wywłaszczenie obszarnictwa i oddanie ziemi chłopom?

Zapytamy też, co powiedzą panowie z „Gońca" o fabrykach? Jak to ma być z temi fabrykami: niemieckiemi, żydowskiemi, francuskiemi, polskiemi i wszystkiemi innemi? Zgodzą się panowie na ich uspołecznienie?

A co panowie z „Gońca" zamierzają zrobić z kopalniami? Zgodzą się panowie na ich przejęcie przez państwo?

A wreszcie, czy panowie z „Gońca" zechcą ukrócić wyzysk kleru, rozpierającego się w dostatku na nędzy mas chłopskich?

Panowie z „Gońca" o tych sprawach nigdy ani słowa nie piszą. Robią tylko radykalny krzyk o „radykalnej przebudowie życia", poto, żeby zdobyć władzę.

Panowie z „Gońca" drepcą tak sobie w ślady Hitlera, prawda? Ale niech panowie raczą zauważyć, że na stary kawał nikt nie daje się nabrać. A po drugie: zaczyna się już odwrotna fala! (w. st.)

„ZA PIENIĄDZE KSIĄDZ SIĘ MODLI..."

Pomyśleć tylko: ilu te pieniądze zmarnowały ludzi, ile charakterów spodliły, ile łajdactw spowodowały! Czegóż to ludzie nie robią za pieniądze, naco się nie ważą? Czyż więc możemy się dziwić, że często uczciwego człowieka z błotem się miesza, a zwykłego gałgana, lub opryszka na piedestał cnoty i dostojeństwa wynosi?

Dlaczego to mówię akurat w tej chwili? Doprawdy, nie wiem — często jednak zdarza się, że jakaś natrętna myśl przydusi człowieka i ani rusz! — nie chce ustąpić. Ot, poprostu zwykły stan człowieka, który sobie coś przypomni.

Przypomniałem sobie właśnie takie „coś".

Mianowicie od dłuższego już czasu zaczęły się ukazywać w pewnym dzienniku warszawskim korespondencje „specjalnego wysłannika" do Abisynji. Mniejsza o tytuł pisma i nazwisko owego korespondenta. Chodzi o rzecz, o wskazanie, jak za pieniądze potrafi „publicysta" pisać „czystą prawdę"!

Otóż — parę miesięcy temu — dziennik ów oznajmił radosną nowinę, że wysyła „specjalnego korespondenta" do Abisynji. Działo się to akurat w tym czasie, kiedy głośno było, że faszyści włoscy przekupili kilka pism francuskich, by pochlebnie pisały o wyprawie do Afryki. Tembardziej nikogo nie zdziwiło, że ów „specjalny wysłannik", o którym piszę, po drodze do Abisynji — wstąpił do Rzymu po błogosławieństwo „il duce" i jego „organów propagandowych". Tam też ten „specjalny wysłannik" dostąpił „objawienia" wcale nie gorszego od rasa Gugsy[1]). Bo dlaczegóż jeden z nich ma być gorszy od drugiego? Potężne i cudotwórcze są przecież faszystowskie liry!

Słowem — zaczęło się. Pismo drukuje triumfalnie korespondencje swego „specjalnego wysłannika", który naprawdę dostał białej gorączki i bredzi o cywilizacyjnej misji włoskiej wśród dzikich Abisyńczyków. Bo przecież dla tego rodzaju panów jest zupełnie w porządku, gdy silny zbir napada na bezbronnego, a potem prowadzi swą „misję cywilizacyjną" przy pomocy tanków, samolotów, bomb, karabinów maszynowych, armat i gazów trujących. Tak samo bombardowanie szpitali i rzeź kobiet i dzieci — są „misją cywilizacyjną".

A więc: uwaga na różne pisma i ich „specjalnych korespondentów"! Bo „za pieniądze ksiądz się modli"...

r.

---

[1]) Został przekupiony i przeszedł na stronę Włochów.

W OBRONIE BYKÓW I... MINISTRÓW

Wiele hałasu narobiła obecnie w Polsce sprawa zakazu uboju rytualnego bydła. Zakaz jest słuszny, gdyż ubój rytualny jest bezsensownym zabytkiem, z którego korzyści czerpie tylko kler żydowski.

Ale nietylko to jest ciekawe w tej sprawie. Najciekawsze jest, że wniosek o zakaz uboju rytualnego wniosła w obecnym Sejmie posłanka sanacyjna p. Prystorowa, motywując go względami humanitarnemi. Mianowicie — podobno bykom zabijanym rytualnie jest bardzo przykro — wolą umierać w bardziej „ludzki" sposób. Pani Prystorowa wogóle jest osobą bardzo humanitarną, bo oto niedawno na Komisji budżetowej Sejmu stanęła znowu w obronie... ministrów, których rzekomo zanadto obecnie krytykują i naśmiewają się z nich. Jakże szeroką jest skala dobroci w sercu pani b. ministrowej Prystorowej — sięga od byków — do ministrów.

Szkoda, że nie słyszeliśmy głosu tej dobrej kobiety w okresie... Brześcia, ani gdy wprowadzono obóz w Berezie, ani przy różnych „pacyfikacjach". A może łzy zatamowały wtedy głos tej rzewnej pani? Lub może była zatopiona w modlitwie za spokój sumienia p. pułkownika Kostka Biernackiego?

Le-Lu

CO SŁYCHAĆ?

Zjazd Stronnictwa Agrarnego w Pradze

Praga, w lutym 1936 r.

W dniach 30 i 31 stycznia b. r. odbył się w Pradze zjazd czechosłowackiego stronnictwa agrarnego. Piękna sala, mogąca pomieścić około 3 tysiące osób — została zapełniona przez delegatów i gości. Na podjum, zajętem przez prezydjum Zjazdu, w otoku historycznych sztandarów Czech, Słowacji, Moraw, Śląska i Rusi Podkarpackiej widnieje popiersie Antoniego Szwehli, wielkiego filozofa chłopskiej myśli polityczno-gospodarczej Czechosłowacji, twórcy agraryzmu i wodza ludu wiejskiego. Na sali widać mnóstwo dziennikarzy i fotografów; są nawet aparaty filmowe.

O godz. 9 rano, wśród entuzjastycznych oklasków, wchodzi na podjum prezydjum Zjazdu z prezesem Stronnictwa posłem Beranem i prezesem Rady Ministrów dr. Hodżą na czele. Za stołami prezydjalnemi zasiadają przedstawiciele organizacyj gospodarczych, społecznych, zawodowych, kulturalnych oraz rządu w osobach kilku ministrów.

Zjazd otworzył, witany owacyjnie, prezes Stronnictwa pos. Beran. Gdy z ust jego padły słowa: „niema dziś między nami naszego wodza i twórcy agrarnej demokracji — Antoniego Szwehli" — wszyscy powstali z miejsc; na wielu twarzach widać było łzy w oczach. Trzeba stwierdzić, że pamięć Szwehli czci się tutaj szczerze i głęboko. Jego duch żyje w masach ludności wiejskiej. Jego program Stronnictwa Agrarnego stał się ewangelją chłopską. Jego zasługą jest stan polityczno-gospodarczy współczesnej wsi czechosłowackiej.

Tegoroczny Zjazd Stronnictwa nosił charakter zjazdu jubileuszowego; w r. b. upływa lat 40 od założenia Stronnictwa.

Na tem miejscu wypadałoby wspomnieć o rozwoju Stronnictwa. Stronnictwo Agrarne jest największem w Czechosłowacji, ma najwięcej przedstawicieli w parlamencie, a gros polityki państwa jest w ręku agrarystów. Najsilniej stoi Stronnictwo w Czechach i na Morawach, gdzie najlepiej są rozwinięte spółdzielnie rolniczo-wytwórcze; w Słowacji i na Rusi Podkarpackiej rozwój Stronnictwa jest mniejszy, ale obecnie coraz bardziej przybiera na sile w oparciu o spółdzielczość. Stronnictwo jest silne i ma w swych szeregach ludzi świadomych roli, jaką mają odegrać w życiu gospodarczem i politycznem państwa. Naczelny Sekretarjat Stronnictwa koncentruje całą pracę partyjną wraz z 99 sekretarjatami okręgowemi; sekretarjat zatrudnia przeszło 50 osób. Prasa partyjna jest wspaniale rozbudowana; wydaje się dużo pism tygodniowych o różnym charakterze; nakład czasopism jest duży; poziom wysoki.

Kamieniem węgielnym siły Stronnictwa jest spółdzielczość, zwłaszcza rolniczo-przetwórcza (elektrownie, młyny, gorzelnie i t. d.). Spółdzielnie te zrzeszone są w centralnej Jednocie gospodarskich spółdzielni w Pradze; należy do niej 4.082 różnych spółdzielni z 582.000 członków. Pozatem na całość ruchu ludowego w Czechosłowacji składa się cały szereg organizacyj gospodarczych, zawodowych, młodzieżowych. Do ważniejszych należą: Ogólne zrzeszenie urzędników, nauczycieli i niższych funkcjonarjuszy (31.036 członków), Związek robotników rolnych i leśnych, do którego należą wszystkie ugrupowania polityczne z przewagą jednak członków Stronnictwa agrarnego, Organizacja kobiet wiejskich (50.000 członków), Związek młodzieży akademickiej (1.7000 czł.), z klubami lekarzy, weterynarzy, prawników, inżynierów i t. d.), Związek młodzieży wiejskiej (100.000 czł.), Związek spółdzielni gospodarczych (582.861 czł), Związek meljoracyjny, wytwórców lnu, buraków cukrowych, przemysłu kartoflanego i t. d., i t. d.

Z osiągnięć kulturalno-oświatowych należy wymienić wyższą szkołę ludową im. Szwehli w Pradze, Brnie, Bratisławie i Użhorodzie. W szkołach tych są urządzane dwu- i trzymiesięczne kursy dla absolwentów szkół rolniczych i dla tych, którzy się poświęcają pracy społecznej na wsi. Akademja rolnicza wraz z różnemi instytutami badawczemi jest bardzo ważnym czynnikiem w rolnictwie czechosłowackiem i może się poszczycić głośnemi w świecie osiągnięciami naukowemi. Niesposób jest wyliczyć w przygodnej korespondencji tych wszystkich organizacyj, które współpracują ze Stronnictwem ludowem. Z tego, co powyżej przytoczyłem, widać że Stronnictwo zwraca wielką uwagę na stronę gospodarczą i kulturalno-oświatową wsi czechosłowackiej. I chociaż rolnictwo czechosłowackie jest stosunkowo więcej zadłużone niż polskie, chocia. dotyka je kryzys gospodarczy i silne bezrobocie w kraju, to jednak rolnik czechosłowacki i dostatnio żyje i może sobie pozwolić na pisma, radjo, maszyny rolnicze i t. p. Wysokie ceny produktów rolniczych zabezpieczają pozycję rolnika.

Na tegorocznym Zjeździe było 1855 delegatów, reprezentujących organizacje polityczne, gospodarcze, zawodowe i kulturalno-oświatowe. Na Zjazd zgłoszono 1494 wniosków od różnych organizacyj; wnioski te zostały rozdzielone pomiędzy poszczególne komisje. W ożywionej dyskusji na komisjach i na plenum cechowała wszystkich mówców zgodność w poglądach na zagadnienia, wypływające z rezolucyj. Rezolucje przechodziły jednogłośnie. Program Stronnictwa, stworzony przez Szwehlę, nie budzi w łonie partji żadnych zastrzeżeń.

W uchwalonych rezolucjach położono wielki nacisk na wychowywanie w duchu demokratycznym młodzieży, zwłaszcza młodzieży wiejskiej. „Mały naród musi być wielki swą kulturą" — czytamy w rezolucji kulturalnej.

Równie kładziono silny nacisk na wychowanie spółdzielcze młodzieży i na rozbudowę spółdzielczości na Słowaczyźnie i Rusi Podkarpackiej. Podkreślano, iż wysoka kultura duchowa, uświadomienie ludności wiejskiej i dobrze zbudowana spółdzielczość

z decydującym czynnikiem samej wsi, mogą stworzyć silny i zdrowy ruch polityczny. Na tych przesłankach opiera się Stronnictwo Agrarne w Czechosłowacji. Zjazd, obradujący przez dwa dni, zakończony został uroczystem ślubowaniem pracy dla dobra stronnictwa i narodu.

Na zakończenie Zjazdu mówił poseł Beran: „Mam do Was prośbę, abyście się rozeszli do Waszych domów jako apostołowie czystego, prawego agraryzmu, jako szerzyciele wielkich idei Antoniego Szwehli; abyście na zebraniach swoich we wsi i miasteczkach powiedzieli starym i młodym — wiernym naszym współbojownikom — że stronnictwo nasze jest jednolite, że niema takiego drugiego stronnictwa w republice czechosłowackiej, które mogłoby się z nami równać swą pracą, dyscypliną, swym duchem i ideową jednością. Powiedzcie, żeśmy na zjeździe nie atakowali demagogicznie nikogo, ale żeśmy otworzyli swe serca przedewszystkiem dla siebie i dla tych, którzy z nami chcą pracować dla dobra rolnictwa, narodu i państwa. Proszę Was, abyście szli i głosili prawdę, ponieważ mamy napisane na znakach republiki: „prawda zwycięży". Niech duch Szwehli prowadzi nas do dalszej pracy dla dobra naszego stronnictwa i państwa. Do pracy, mili Koledzy, a jak będzie trzeba — także i do boju".

(g.)

Z ŻYCIA ŚRODOWISK AKADEMICKICH

ŚRODOWISKO POZNAŃSKIE

Wszędzie się dziś mówi o roli inteligencji w życiu społecznem, przypisuje się jej takie lub inne zadania do spełnienia, tego lub owego się od niej żąda lub spodziewa, to i tamto się jej zarzuca. Poszczególne klasy lub grupy społeczne, rywalizujące ze sobą, zarzucają sobie brak inteligencji, względnie jej oportunizm, a temsamem niezdolność do rządzenia lub wpływania na losy państwa. Rola inteligencji w życiu społecznem jest więc niewątpliwa, czego dowodzi zresztą samo życie, a już specjalne znaczenie posiada inteligencja dla tych klas społecznych, które, jak np. klasa chłopska, wyłaniają się dopiero w całej swej masie z dotychczasowego biernego bytowania. W tym wypadku jednak nie wystarczy samo wykształcenie, które według obiegowego znaczenia decyduje o przynależności do inteligencji, ale niemniej ważnem jest wychowanie inteligencji w duchu ideologji tej klasy społecznej, do której inteligent z natury rzeczy należy lub chce należeć. Tak wychowana inteligencja może dopiero być naprawdę pożyteczną i takiej inteligencji koniecznie potrzebuje nasz ruch ludowy.

W związku z tem warto zaznajomić szerzej ogół z temi środowiskami, które wychowują synów chłopskich, studjujących na uniwersytetach, na przyszłych przzodowników ruchu ludowego. Mnie w udziale przypadło przedstawienie życia akademików - ludowców w Poznaniu.

Charakter całego środowiska uniwersyteckiego w Poznaniu jest bardzo ciekawy, choćby z tego względu, że przewagę ma tam młodzież „narodowa", związana ściśle ze stronnictwem narodowem, a więc odznaczająca się temsamem kołtuństwem i szowinizmem, jaki cechuje starych endeków. Ten stan rzeczy nie bez wpływu pozostaje na aka-

demicką młodzież ludową. Pomijając już ten smutny fakt, że chłopski stan posiadania na uniwersytetach wogóle spadł prawie do zera (w Poznaniu, nie wiem, czy wynosi więcej niż 5%), to i ci nieliczni szaleńcy spod strzechy, którzy wstąpili w mury Almae Matris, czepiają się takiej lub innej organizacji endeckiej, od której spodziewają się materjalnej pomocy. W ostatecznym rozrachunku mała tylko garstka zostaje przy szczerze chłopskiej organizacji, jaką jest Polska Akademicka Młodzież Ludowa. Smutny to objaw, spowodowany nędzą wsi, że chłopski syn zaraz w pierwszych dniach pobytu na uniwersytecie zapisuje się do korporacji endeckiej, potem przez cały pierwszy trymestr kuje herbarz szlachecki Semkowicza, dla siebie wynajduje także jakiegoś Półkozica czy Półosła, przez całe zaś studja codzień prawie z mieczykiem w klapie marynarki stoi blady z wycieńczenia fizycznego i moralnego przed gmachem uniwersytetu i rozdaje kołtuńsko-endeckie ulotki. To już człowiek stracony dla wsi nazawsze. A. takich u nas w Poznaniu jest dużo, zwłaszcza z terenu Wielkopolski i okręgu łomżyńsko-białostockiego. Rozmawiają oni z nami, pamlowcami, zgadzają się na wszystko, ale cóż — charakter już złamany i spaczony przez wstrętne służalstwo. Ci natomiast, którzy zdołali przełamać wszystkie przeszkody i nie przestali czuć się synami chłopów, są członkami P.A.M.L.-u.

P.A.M.L. poznański nie jest wprawdzie liczny i na każdym kroku walczyć musi z licznemi przeszkodami, to mimo wszystko pochwalić się może poważnemi wynikami swej pracy, że wymienię tylko stworzenie wespół z Ł.Z.M.W. „Chłopskiego Życia Gospodarczego", które dziś już stanowi poważną placówkę w ruchu ludowym. Na zebraniach referatowych, odbywanych co tydzień, porusza się aktualne zagadnienia społeczno-gospodarcze i ideowe, przyczem zebrania P.A.M.L.-u na terenie poznańskim słyną z wysokiego swego poziomu i śmiałości w poglądach. Na ostatniem przedświątecznem zebraniu studenci-ludowcy w rzeczowej dyskusji potępili burdy antyżydowskie, które są niczem innem, jak odwracaniem uwagi od rzeczy ważniejszych i pilniejszych. Tej linji będziemy trzymali się także na przyszłość. Wogóle cała działalność poznańskiego P.A.M.L.-u nastawiona jest właśnie prawie wyłącznie na przygotowanie pracowników dla ruchu ludowego. Stąd też i udział nasz w życiu ściśle akademickiem jest ograniczony do konieczności. Obecny zarząd poznańskiego P.A.M.L.-u tworzą kol. kol.: Janczak Wojciech — prezes, Chabinka Wojciech — viceprezes, Wiatr Stanisław — skarbnik, Kasperek Nikodem — sekretarz, Duszyńska Aurelja — czł. Zarządu.

W. Janczak

ŚRODOWISKO WARSZAWSKIE

Nieliczni, znękani trudnościami materjalnemi, przybywają do stolicy na studja synowie chłopscy. Powodzenia na warszawskim bruku!!! — wita ich „Warszawa w kwiatach"! Mieszkań dla nich jeszcze nie zbudowano. Domy akademickie są dla protegowanych. Towarzystwo przyjaciół młodzieży akademickiej, płód sanacyjnych reform, posiada koncesję w domach akademickich i wie zgóry komu przydzielić pokój i stypendjum mieszkaniowe.

Młodzież wiejska studjująca w Warszawie, doniedawna zorganizowana była w P. A. M. L.-u. Po słynnych reformach pp. Jędrzejowiczów zorganizowano Koło Młodzieży Wiejskiej „Wici". Istnieją dwa takie Koła, jedno z nich, o którym piszę, nosi nazwę „Drugie Koło Młodzieży Wiejskiej „Wici". Do tego Koła należy młodzież więcej zaawansowana w pracy społecznej i naukowej, stąd niektórzy mają skłonność nazywać je akademickiem. Koło to z każdym dniem powiększa liczbę swoich członków.

Działalność swoją Koło przejawia w poszczególnych sekcjach a mianowicie: w sekcji samopomocowej, propagandy i prasy oraz organizacyjnej. Na szczególną uwagę zasługuje sekcja samopomocy akademickiej, której celem jest zdobywanie funduszów, z których możnaby udzielać stypendjów i pożyczek dla kształcącej się młodzieży chłopskiej. Akcja ta w ostatnim czasie zdąża do otwarcia bursy. Należy zaznaczyć, że we wszystkich tych poczynaniach pomaga nam starsze społeczeństwo. (Pewne fundusze uzyskaliśmy również z urządzonych zabaw).

Sekcja prasy i propagandy zajmuje się rozpowszechnianiem pism ludowych, a zwłaszcza „Młodej Myśli Ludowej", która po rozwiązaniu P. A. M. L.-u została bez opieki i prawnego właściciela. Młodzież akademicka w Warszawie, doceniając potrzebę wychodzenia „Młodej Myśli Ludowej", zdąża do przejęcia na siebie odpowiedzialności za losy pisma, obecnie prowadzonego przez osoby prywatne. Pożądane byłoby, żeby w tej sprawie wypowiedziały się inne środowiska.

Z prac bieżących naszego środowiska należy wymienić urządzanie prawie w każdą sobotę wieczorów dyskusyjnych, w których bierze udział nietylko młodzież ludowa, ale i starsi. Jako poważne wydarzenie w naszem życiu należy wymienić akademję ku czci Reymonta, zorganizowaną staraniem II-go Koła Młodzieży Wiejskiej i starszego społeczeństwa warszawskiego z Koła Stronnictwa Ludowego.

Na zakończenie chcę dodać, że my, młodzież wiejska środowiska warszawskiego, stoimy zwarcie przy całej gromadzie młodego ruchu chłopskiego, dążącego do przebudowy społeczno-gospodarczej w państwie.

Józef Sidor.

JAŁOWCOWE SŁOWA

Powinno się mieć pretensję do poetów, że tak dużo pisali o płaczących brzozach i, robiących im konkurencję, wierzbach, a tak mało o krępym, zdrowym i czerstwym jałowcu. Jałowiec — znaczy to coś, co rośnie na gruncie najbardziej jałowym, co zielenią i krzepkością swoją akcentuje wolę życia w warunkach najtwardszych. Jałowiec to jednocześnie coś, co ma w życiu wieloraką przydatność. W życiu wsi n. p. przydatność jałowca jest dość duża i naprawdę różnoraka. Używa się go i jako kropidła i jako kadzidła, a także i jako lekarstwa. Często jałowiec spełnia dwie czynności równocześnie: jako kropidło jest jednocześnie w wielu wypadkach lekarstwem... najradykalniejszem! A bywa i tak, że jałowiec odgrywa role krańcowo przeciwstawne — wiadomo, przecie, iż co do jałowca, jako kropidła, napuchnie, to od jałowcowego dymu, jako lekarstwa, stęchnie. Jałowiec używany bywa również jako wonne kadzidło do wykadzania zatęchłości, zaduchu i wszelkiego powietrznego niezdrowia. Stawiam więc nowe — i może kto powie, że nie rewelacyjne — hasło: **więcej jałowca!** Więcej jałowca w poezji, więcej w życiu zbiorowem, więcej jałowca w życiu Polski! Ta pochwała jałowca — myślę, że całkiem przekonywująca — usprawiedliwia chyba to, że ja uczyniłem zeń jeszcze jeden użytek, przyjmując jego imię — jako swój pseudonim.

Przystąpmy jednak do rzeczy — choćby ta rzecz była nawet najczarniejsza. Chociaż..., w czasach panoszenia się „teorji względności", rzeczy najczarniejsze mogą raz wydawać się czarnemi, innym razem mogą znów kolory odmieniać.

Smoła zmienia kolory

Już widzę jakie poruszenie wywołałem tem odkryciem wśród fizyków całego świata. Na uspokojenie ich śpiesznie dodaję: mam na myśli nie smołę, jako zjawisko fizyczne, ale Smołę, **jako zjawisko polityczne.** Daruj mi tę śmiałość, o święta Hortensjo, że dotykam twoich sekretów. Ale czynię to w imię prawdy i sprawiedliwości!

Otóż jest jeden „polityk" chłopski, który nazywa się Jan Smoła. Chłop w gruncie rzeczy, ale trochę nie jak chłop, lecz jak baba zmienny. Dziś ma się on za wielkiego rrradykała i postępowca..., inni mają go też i za **odstępowca.**

Jak to z tym radykalizmem p. Smoły było wczoraj a może nawet jeszcze dawniej? Zajrzmy do historji. Historja — mówi przysłowie — est magistra vitae. Ale wy, Szanowni Czytelnicy, o p. Smole nie wszystko wita. Otóż wstąpmy na chwilę do przybytku owej historji, chwalącej się tytułem magistra. Cóż tam widzimy?

Oto pod datą roku 1913 wychodziło w Warszawie pismo, noszące tytuł, jeśli się nie mylę, **„Ognisko".** Od ogniska owego nie sama jasność tylko rozchodziła się po świecie, ale i cień, który jasności usiłował zaciemniać. Spotykamy więc w tem piśmie artykuły, wyrażające wielkie niezadowolenie z organizowania się Kółek Staszycowskich, a jeszcze większe z idei, jakie szerzyło inne znowu pismo: „Zaranie". Największym krytykiem „Zarania" i „zaraniarzy" w „Ognisku" był pewien autor, podpisujący się pseudonimem **M. Cień** — chłop z Winiar. W trzydziestym trzecim numerze „Ogniska" z r. 1913, tenże M. Cień zaczął drukować artykuł p. t. **„Nie tędy droga do odrodzenia".** W artykule tym — jak głosi przypisek redakcji — wytknięte zostały wady „zaraniarzy" i wykazane szkodliwe skutki ich roboty na wsi.

Cóż to za wady wytknięte zostały tam „zaraniarzom"?

Oto pisze autor tego artykułu: **„Z przerażeniem widzę, że ten kierunek** (zaraniarski — przyp. mój!) **działa na nas chorobliwie i wypacza lud". „Pismo to przynosi krzywdę narodowi, a podkreślmy to, że najwięcej ludowi".** Albo: **„Pismo to umie tylko podłość na świat wywłóczyć, czem nam psuje opinję u innych narodów, a do tego czytanie takiego pisma nie może dobrze wpłynąć i na czytelnika, bo go robi skłonnym do tego, czego się dowiaduje. Dalej historja nasza jest przedstawiona u „zaraniarzy" w złem świetle, szczególnie z punktu widzenia na stanowość. Tam zawsze mówi się o krzywdzie ludu od innych stanów".**

W obronie księży i szlachty

„Nie zabrania nikt — pisze M. Cień — p. Malinowskiemu myśleć jak mu się podoba, ale można od niego wymagać **choć tyle kultury,** żeby uszanował uczucia i wierzenia innych..." „Czy sprawiedliwe są krzyki na księży?... Że są najgorsi, że tamują postęp... Przecież lud prowadzony przez księży, wyżej stoi moralnie, jak inni, prowadzeni przez czystą oświatę..." „Albo ta szlachta, co się na nią krzyczy, skąd się wzięła jak nie z chłopów? Taka niesprawiedliwość psuje ludzi i źle wychowuje, a niesprawiedliwością jest krzyczeć bez ustanku na szlachtę i księży!"

Tak grzmiał przeciwko „Zaraniu" i „zaraniarzom" M. Cień.

M. Cień okazał się być Smołą

Na owe napaści M. Cienia, rzucane z łam „Ogniska", odpowiedziało „Zaranie", nie dając wiary, aby mógł je pisać chłop rzeczywisty, a nie jakiś panek, podający się za chłopa. Wtedy autor, kryjący się za pseudonimem, odsłonił swą przyłbicę. Pisze on

w odpowiedzi „Zaraniu": **„Otóż nazywam się Jan Smoła, jestem pszczeliniakiem, zamieszkałym w Winiarach pod Zawichostem, chłop jestem prawdziwy, a nie jakieś urojenie!"**

Tak pisał o „Zaraniu" i „zaranianach" Jan Smoła — „nie jakieś urojenie" — w roku pańskim 1913.

O cztery lata później

W roku 1917 widujemy artykuły Jana Smoły w „Gazecie Świątecznej". W gazecie tej z dnia 18 lutego wymienionego roku czytamy artykuł Smoły p. t. **„Jaka Polska była i jaka będzie?"** — Na to pytanie tak odpowiada nam dzisiejszy „pogromca" endeków i „piastowców" ze Stronnictwa Ludowego: **„Polska nie będzie ani szlachecka, ani chłopska, ani robotnicza; Polska będzie narodowa".**

„Chcemy mieć własnego króla"

„Wolność Polski — pisze p. Smoła w tymsamym artykule — jest nam koniecznie potrzebna, żebyśmy mogli sami rządzić się na swej własnej ziemi, we własnym swoim kraju. Chcemy być gospodarzami u siebie, a nie sługami. **Chcemy mieć własnego króla** i rząd własny..."

Nie upłynęło czasu zbyt wiele

— Jak Smoła znalazł się w „Wyzwoleniu", z ramienia którego rychło awansował na posła. W „Wyzwoleniu", przeprosiwszy się z dawnymi „zaraniarzami", grzmiał naodwyrtkę, przeciwko tym, którzy chcieli Polski „narodowej", robił opozycję przeciw „piastowcom" za to, że się z narodowcami kumali; gromił szlachtę i księży, jak się patrzy, z tem większą gorliwością i tupetem, niż inni — im świeższym był w „Wyzwoleniu" neofitą.

Cień — „Zarania", czy karykatura?

Dziś — po latach — Cień, zwalczający „Zaranie", i Malinowski, redaktor „Zarania", zeszli się razem. Połączył ich nowy związek: wspólne wykolejenie się z prostego gościńca, po którym idzie ku swej przyszłości ruch ludowy. Malinowski jest w tym związku osobą budzącą — mimo wszystko — współczucie. Trudno się uchronić przed współczuciem na widok upadającego starca. Smoła spełnia swoją dawną rolę cienia, który zaciemnia przed chłopami prawdę. Jak dawniej z impetem i tupetem obrzucał błotem nieprawdy „Zaranie", tak dziś tem samem błotem obrzuca zjednoczony i niezależny ruch chłopski, a w nim także i tych z dawnego „Zarania", którzy utrzymali linję, którzy się nie zbabrali. Malinowski wykoleił się z drogi, po której szedł przez długie lata i która była jego drogą; Smoła wkoleił się w swoją pierwotną drogę! Razem z Malinowskim tworzą dziś nawet nie cień „Zarania" — ale jego tragiczną karykaturę!

Tyle słów jałowcowych na numer dzisiejszy!

Jałowiec

Warunki prenumeraty: Rocznie — 6 zł., półrocz. — 3 zł., kwart. — 1.50 zł.

„Młodą Myśl Ludową" redaguje Komitet.

…daktor odp.: **Wincenty Stojek.** Wydawca: **Adam Zieliński.**

…rukarnia Oświatowa, Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Warszawa, Żelazna 93, tel. 11 86-88.